Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 22 maja 1938 r.* Nr. 21

DZIAD SPOD DZWONNICY



Wszystkie drogi i wszystkie ulice
Poznał już i przemierzył —
Ten dziad spod wiejskiej, starej dzwonnicy,
Szepczący swe pacierze.

Gdy jesień liście maluje złotem,
Bierze na plecy worek
I wlecze się z swoją dziwną tęsknotą,
Gdzieś za szerokie ugory.

I nie ma go rok całutki w wiosce.
Pod krzyżem pustka drzemie. —
„Ot, przepadł! — mówią już ludzie w trosce —
A może legł gdzieś w ziemi"...

Aż dnia któregoś — po długich chwilach —
Razem z ptakami powraca,
By pod dzwonnicą, gdzie bzy się chylą,
Paciorki znów obracać.

O tym, że był gdzieś w dalekim świecie,
Nie mówi dziad nikomu,
Bo tam... tak samo w dzień słońce świeci,
Tych samych trosk ogromy.

Siedzi więc codzień na zimnym piasku,
Pełen gołębiej wiary:
Że Bóg rozzłoci jeszcze swą łaską
Niedolę ludzi szarą.

Maria Zemmlerówna.

MAX DU VEUZIT

12)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO IRENY MACIEJEWSKIEJ

— Ten pierścionek, tłumaczył Janusz, ojciec mój włożył na palec matki, gdy zgodziła się połączyć swe życie z nim. Ten pierścionek, jeśli wyzdrowieję, włożę na palec kobiecie, którą wybiorę za żonę. Widzi więc pani, Sabino, że tego pierścionka nie ofiaruję pani, gdyż, jeśli nie powrócę do zdrowia, powinien on należeć do mej siostry... znajduje się on jakby przejściowo w mych rękach, nie należy bowiem do mnie całkowicie. Ale tamten, droga dziewczynko, proszę przyjąć bez żadnych wyrzutów i zachować go jako pamiątkę ode mnie; dzięki czemu będę spokojniejszy, gdy odejdę od pani.

Drżącą ręką uścisnęłam jego biedne, słabe palce.

— Przyjmuję, Januszu... całym sercem, tak jak pan mi go ofiarowuje. Ach, aby pan mógł powrócić, by, zachowując swą przyjaźń, która jest mi cenniejsza od wszystkich klejnotów świata, roztoczyć opiekę nad losem biednej sieroty...

Jąkałam się, zbyt wzruszona, aby znaleźć odpowiednie słowa, nie mogąc mówić tych, które byłyby mu najmilsze.

On jednak odgadł zapewne me myśli, gdyż podniósł rękę i położył mi palec na ustach, nakazując milczenie. Pochyliłam czoło, niewymownie wzruszona tą wielkością ducha i szlachetnością.

Och, Januszu, biedny, drogi przyjacielu, gotowy oddać mi wszystko, nic nie żądając w zamian dla siebie, nie domyślałeś się jaka bezmierna czułość przepełniała w tej chwili mą duszę.

Przymknęłam oczy, napawając się słodyczą twej troskliwej przyjaźni; nie widząc już twej okropnej maski automatu; — ujrzałam nagle portret, wiszący w pokoju Blanki, na którym uśmiechałeś się radośnie w rozkwicie młodości... na długo przed wojną marokańską... przed katastrofą, która cię zniszczyła!

Obraz twej młodości, męskiej urody, tryskającej siłą, energią, zdrowiem! Ileż razy przyglądałam mu się z gorzką przyjemnością z myślą o tym, jak byłabym dumną, posiadając miłość takiego mężczyzny; ileż razy nie miałam potem odwagi spojrzeć w twą zniekształconą twarz, nasuwającą upiorne wizje.

I oto, gdy byłam tak blisko ciebie, z ręką w twej dłoni, z sercem mocno bijącym ze wzruszenia w tej osobliwej chwili, widziałam nie ciebie, Januszu, nieszczęśliwego kalekę; nie — to tamten był przy mnie: młody, zdrowy, piękny Janusz de Saumarte, uleczony, wskrzeszony, wkładał mi pierścionek na palec.

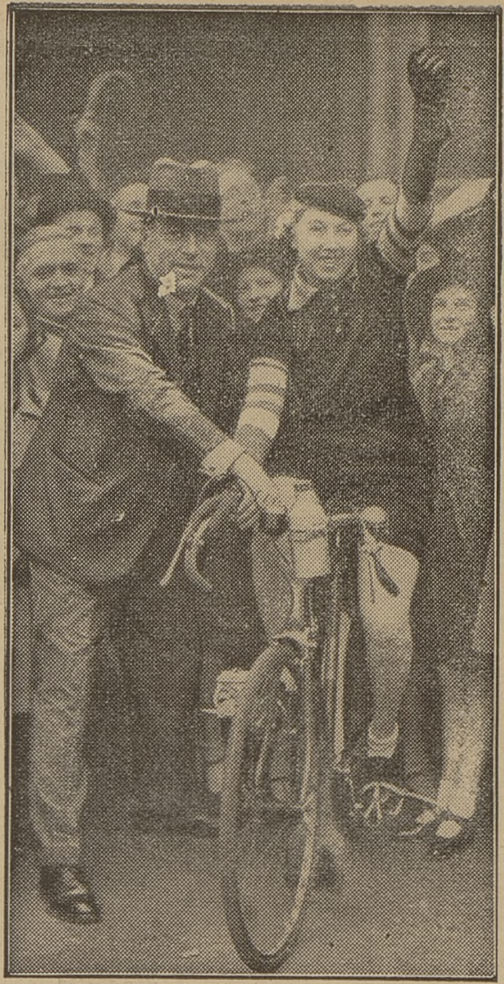
Złudzenie?... Tak, niestety, to było tylko złudzenie.

* * *

Przeszły znowu dwa dni.

W całym pałacu panował ruch.

Blanka zamykała kufry i przekręcała klucze w zamkach szaf, nakrywała meble pokrowcami i osłaniała obicia.



Evelyn Hamilton chce wytrzymałością dorównać mężczyznom i w tym celu wyruszyła z Glasgow na rowerze, by przez 100 dni codziennie przejechać 160 km.

Doktor Taillet wyjechał, powrócił jednak po trzech dniach.

Wszystko było już ukończone: przygotowania do podróży i porządki w domu. Lekarz przyjechał po swego pacjenta.

Pewnego dnia udałam się do Belle Vue o świcie.

Nadeszła chwila rozstania z mymi przyjaciółmi. Jakkolwiek rozgorączkowana niedospaną nocą i wczesnym porannym spacerem, czułam się wewnętrznie zlodowaciała.

„Odjechać, to umrzeć trochę" powiedział poeta; ten kto odjeżdża umiera częściowo, lecz ten kto pozostaje, by żyć wspomnieniami — umiera naprawdę. Czułam się pogrążona w mroku, na myśl o okrutnej, oczekującej mnie samotności.

Samochód chirurga oczekiwał już przed wejściem, gdy zbliżyłam się do pałacu.

Nie zastanawiałam się nad tym, że doktor Taillet przybył do Belle Vue, tak odległego od Paryża, własnym samochodem, by osobiście zabrać chorego. W tej chwili wydało mi się to zupełnie naturalne, bowiem miałam na myśli dobro Janusza i wygodę Blanki, która unikała w ten sposób przykrości podróży koleją, w czasie której brat jej byłby narażony na mniej lub więcej niedelikatną ciekawość pasażerów.

Pomyślałem coprawda, iż młody chirurg okazałby się na pewno mniej uprzejmy w stosunku do innego pacjenta; nikt jednak nie zna tajemnych sił, kierujących naszymi postępkami i doktór zapewne nie zdawał sobie sam sprawy z niewidzialnego magnesu, przyciągającego go do Blanki i nakazującego mu tak troskliwie opiekować się jej chorym bratem.

Nadszedł moment pożegnania.

Blanka, z oczami pełnymi łez, uściskała mnie serdecznie:

— Droga Sabinko, nie martw się bardzo i pisz często. Powierzam ci opiekę nad naszym domem, oto wszystkie klucze. Przychodź tu, jak tylko będziesz mogła najczęściej; zrobisz tym wielką przyjemność naszym starym służącym. Poleciłam Annice i Nadorowi, by byli posłuszni twoim rozkazom. Proszę cię, byś zechciała nimi kierować i wspierać ich swą obecnością, gdy będziesz miała wolną chwilę.

— Przyrzekam ci Blanko... zrobię wszystko co będzie w mej mocy, by nie zawieść twego zaufania... przesyłaj mi jednak często wiadomości o sobie i o twym bracie.

— To postanowione!

Padłyśmy sobie znowu w objęcia.

Podając mi rękę na pożegnanie, chirurg szepnął:

— Proszę mieć zaufanie, zobaczy pani mego pacjenta zupełnie uleczonego. Będę pani komunikował wszystko, co chory mi poleci donieść pani.

Uszczęśliwiona tą obietnicą, podziękowałam mu gorąco.

Janusz, w chwili tego ostatniego pożegnania — odjeżdżał bowiem zarówno ku śmierci, jak ku życiu — ściskał konwulsyjnie mą rękę drżącymi palcami.

Szukałam na próżno w jego biednych, błędnych oczach światełka świadomości o tkliwym blasku, który na pewno pragnął mi ukazać. Ujrzałam tylko dwie wielkie łzy, wolno spływające po wychudzonych policzkach nieszczęśliwego kaleki.

Ten widok stał się dla mnie kroplą wody przepełniającą naczynie. Wybuchnęłam nieopanowanym łkaniem.

Samochód wolno ruszył.

Gdy wilgotnymi oczami chciałam jeszcze raz spojrzeć na mych przyjaciół, jedynych ludzi, których kochałam, wóz znikał już na zakręcie drogi.

Pozostałam sama z Nadorem i Anniką, ocierającą łzy.

— Byleby tylko nasz biedny pan powrócił! Jak smutno było by w pałacu, gdyby panienka wróciła sama.

Olśniła mnie wtedy jak błyskawica pewna myśl: wyczułam intuicyjnie, iż Blanka nie powróci sama do swego domu rodzinnego, nawet wówczas, gdyby jej brat odszedł na zawsze.

* * *

Przez kilka tygodni Blanka pisywała do mnie regularnie, opisując drobiazgowo zabiegi, którym poddawał się jej brat.

Przed dokonaniem operacji, chirurg poddawał chorego intensywnemu odżywianiu. Jednocześnie, stosując masaże elektryczne i kąpiele radioaktywne, usiłował ożywić tkanki, by powrócić im wrażliwość i żywotność.

Blanka wydawała się zachwycona dotychczasową kuracją i nie szczędziła pochwał dla umiejętności i wiedzy chirurga.

Listy te zaciekawiały mnie niezmiernie, gdyż odczytywałam w nich między wierszami rozwój uczucia między lekarzem, a siostrą jego pacjenta. Wysnuwałam z tej miłości najlepsze wróżby dla uleczenia Janusza.

Odwiedzałam często Belle Vue w czasie pierwszych tygodni. Opuszczając Presec wczesnym rankiem, spędzałam tam całe dnie, pozostawiwszy chorą babkę pod opieką Klaudyny.

Od dnia ataku babki nie widziałam Piotra Desormiers i sądziłam już, że pozbyłam się na zawsze tego niemiłego konkurenta.

Nagle trzy wydarzenia zakłóciły monotonię mego życia.

Przede wszystkim poczta poranna przyniosła mi dwa listy, z których jeden pochodził od Blanki, donoszącej mi, iż brat jej został już przeniesiony do kliniki chirurgicznej doktora Taillet, gdzie zostanie poddany operacji, przypominającej pod pewnymi względami, trepanację czaszki.

Łatwo się domyśleć jak wzruszyła mnie ta wiadomość: Janusz wypowiadał teraz ostatnią najniebezpieczniejszą walkę, jaką może wydać żywy człowiek, chorobie: wchodziło tu w grę śmierć lub obłąkanie. Słowo trepanacja mówiło samo za siebie.

Drugi list pochodził od chirurga, zawierając kilka słów od Janusza:

„Najdroższa dziewczynko!

Gdy będzie pani czytała te słowa, najgorsze będzie już poza mną...

Proszę być dzielną, Sabinko, tak jak ja nim jestem. Cokolwiekby nie zaszło niech pani pamięta, iż moja ostatnia myśl była przy pani...

Dowidzenia, miła przyjaciółko! Zobaczyć panią jeszcze, to moje najgorętsze pragnienie; oby Bóg zezwolił na jego spełnienie. Jeśli jednak nie danem mi to będzie, proszę wspominać mnie jak starszego brata, który życzy pani szczęścia pod każdym względem. Janusz."

Nie trzeba dodawać, iż ten list wstrząsnął mną stokroć silniej jeszcze od listu Blanki.

W smutnym nastroju udałam się tego ranka do Belle Vue.

Wtedy właśnie nastąpiło drugie znamienne wydarzenie tego pamiętnego dnia.

Powiedziałam przed chwilą, iż od czasu choroby babki nie widziałam Piotra Desormiers.

Jakież więc było moje zdumienie, gdy nagle ujrzałem go przed sobą.

Znajdowałam się w lesie na połowie drogi prowadzącej z Presec do Belle Vue i gdy go ujrzałam o kilka kroków przed sobą, zrobiłam odruch przerażenia.

Patrzył na mnie natarczywie twardym spojrzeniem, jakby chcąc mnie onieśmielić.

Musiałam się opanować, by pokonać strach, którym mnie napawał.

Ponieważ stał pośrodku ścieżki, nie zamierzając ustąpić mi z drogi, zeszłam na bok. Nie zważając na piasek, wciskający się w pantofle, przeszłam obok niego obojętnie i wyniośle, udając, iż wcale go nie widzę.

Serce waliło mi głośno w piersi, była bowiem między nami tak wąska przestrzeń, iż wystarczyło mu tylko wyciągnąć rękę, by mnie zatrzymać. Czułam, iż jeśliby wykonał jakiś ruch, nogi ugięłyby się pode mną, podcięte przerażeniem. Moja pozorna energja zaimponowała mu jednak widocznie, gdyż pozdrowił mnie tylko drwiącym śmiechem.

Śmiech jego odbił się we mnie przeraźliwym echem, zdwajając mój lęk. Sama jedna w gęstym lesie z człowiekiem, o którym mówiono, iż jest bez skrupułów, czułam się zdana na jego łaskę. Któż przybiegłby mi na ratunek, gdybym była zmuszona wołać o pomoc. I muszę przyznać, że gdy go już minęłam, musiałam całą siłą woli powstrzymać się, by nie biec, krzycząc z przerażenia.

Myśl, iż ten niebezpieczny człowiek znajduje się za mną, że może dosięgnąć mnie wówczas, gdy nie będę go widziała, napełniła mnie niewymownym strachem.

Po upływie paru minut, które wydały mi się wiekami, mogłam na zakręcie rzucić okiem za siebie.

Desormiers stał nieruchomo na tym samym miejscu z założonymi rękami; spoglądając za mną, zdawał się namyślać czy dogonić mnie.

Wówczas, nie zastanawiając się więcej i korzystając z tego, iż gąszcz lasu zakrył mnie przed jego oczami, puściłam się pędem w stronę Belle Vue, gdzie przybiegłam wystraszona, dysząc ze zmęczenia.

Wieczorem, Nador odwiózł mnie powozem do Presec, nie odważyłabym się bowiem nigdy, wracać o tej porze sama piechotą przez las.

W domu czekała mnie nowa niespodzianka.

W czasie mej nieobecności babka odzyskała przytomność. Opuścił ją wreszcie ten bezwład umysłowy, który czynił ją pozbawioną świadomości przez długie tygodnie. Mogła już mówić i pierwsze jej słowa dowodziły, iż poznaje swą starą służącą i zdaje sobie sprawę z tego, co się dookoła niej dzieje.

To wydarzenie poruszyło całe Presec.

Pani przemówiła! Pani już znów będzie rządzić wszystkim!

W pierwszej chwili ucieszyłam się szczerze na wieść o tym. Byłam naprawdę zadowolona, iż babka miała się lepiej i dziękowałam Bogu za tę niespodziewaną zmianę w stanie jej zdrowia.



Starym zwyczajem wybiera się w Anglii królową i króla Wiosny. Na zdjęciu mała para królewska w chwili wymieniania „oficjalnego" pocałunku.

Po kilku minutach zastanowienia jednak radość moja zmalała.

Przypomniałam sobie nagle, że wraz z odzyskaniem przytomności umysłu babka powróci do swych kapryśnych żądań. I znowu zacznie się wojna ze mną, by mnie zmusić do poślubienia Piotra Desormiers, bądź też, by narzucić mi jakieś inne despotyczne wymagania.

Toteż troska stłumiła radość, gdy skierowałam kroki do sypialni babki.

Zaledwie weszłam na próg, poznałam po blasku jej oczu, iż czuje się znacznie lepiej. Była zupełnie przytomna i jej stalowe spojrzenie nic nie straciło ze swej ostrości, gdy spoczęło na mnie.

Przemówiłam do niej serdecznie, winszując powrotu do zdrowia, usiłując uśmiechnąć się do jej surowych oczu, do jej twardych rysów, do jej starczej złości, która z niej promieniowała.

Od razu jednak wszczęła cierpką dyskusję:

— Skąd przychodzisz, Sabino? Jesteś więc zawsze poza domem!... Skorzystałaś z mojej choroby, by się wyemancypować...

— Ależ nie, babciu! przerwałam jej.

Nie pozwoliła mi dojść do słowa.

— Cicho bądź! Umiesz tylko kłamać. Powiem doktorowi, iż mimo mej choroby, wciąż mi się sprzeciwiasz i denerwujesz mnie.

— Ależ babciu, ja...

— Dość tego, Sabino! To okropne, tak drażnić biedną chorą, osłabioną przez ciężkie cierpienia. Rozumiem dobrze, iż spotkał cię zawód. Spodziewałaś się mojej śmierci, a tu raptem nastąpiło wyzdrowienie! Biedna dziewczyna! Bóg cię ukarał za twoje wyrachowanie.

Wobec takiej złośliwości wybuchnęłam płaczem.

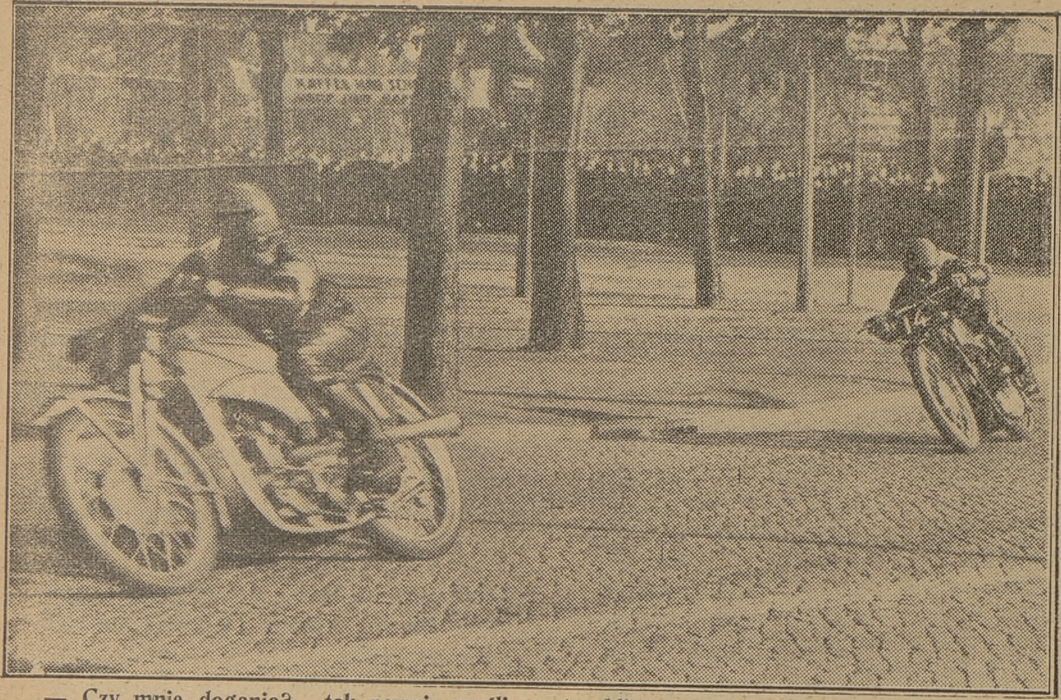
— Och, uspokój się, moja droga; w moich latach i po takiej ciężkiej chorobie możesz być pewna, że długo żyć nie będę. Ale uprzedzam cię, iż wobec takiej perfidii z twej strony, zrobię odpowiednie posunięcia i sporządzę testament w ten sposób, by ci nie pozostawić ani grosza.

— Masz rację, babciu, nie chcę bowiem nic przyjąć od ciebie.

— Zielone winogrona... Mimo to mam jeszcze litość nad tobą i w dniu, w którym poślubisz Piotra Desormiers, dam ci odpowiedni posag... Nie dziękuj mi: gdybym cię nie wyposażyła, nie zgodziłby się on nigdy na to, by wziąć za żonę taką zwariowaną dziewczynę jak ty.

Nie chcąc już dłużej słuchać uciekłam z sypialni babki, by schronić się w swym pokoju.

Ogarnęła mnie niewymowna rozpacz. Nigdy jeszcze nie czułam się tak osamotnioną opuszczoną.



— Czy mnie dogania?... tak pewnie myśli motocyklista, oglądając się trwożnie za siebie

W umęczonym przez ten przykry wieczór mózg, tkwiło tylko jedno imię:

— Janusz!

On tylko mógł mnie uratować, on mnie rozumiał...

Ale czy żył on jeszcze o tej godzinie?

— „Niech pani wspomina mnie jak starszego brata, który pani życzy szczęścia pod każdym względem" pisał mi.

Instynktownie schroniłam się myślą przy nim, jakgdyby mógł mnie usłyszeć i ochraniać.

Niestety! Nie wiedziałam czy pokładałam swe nadzieje w żyjącym człowieku, czy też myśli moje biegły do istoty nie z tego świata. Może to już tylko duch jego przyciągał moją podświadomość, szukającą instynktownie ucieczki w wspomnieniu o nim.

Jakież okropne przypuszczenie! Janusz martwy!

Pozostawała tylko Blanka, której mogłam wyznać swe strapienie.

Zasiadłam do pisania listu i, pokrywając drobnym pismem niezliczone strony opowiadałam jej o mych troskach, błagając, by mnie ratowała.

Nagle przypomniało mi się, iż Blanka otrzyma mój list w zupełnie nieodpowiedniej chwili; będzie to bowiem już po operacji. Jeśli zabieg ten się udał, Blanka jest pełna niepokoju co do dalszego losu Janusza, jeśli zaś nie... opłakuje zmarłego.

I znowu serce moje napełniło się rozpaczą, gdy, czując się całkowicie osamotnioną, darłam na drobne kawałeczki długie stronnice, które przed chwilą zapisałam.

* * *

Dni biegły.

Dni ponure, w których żyłam obawą każdej godziny; dni pełne oczekiwania i nadziei na list, który nie nadchodził.

Wychodziłam ze swego pokoju tylko w godzinach posiłków, pozostając resztę dnia w samotności. Spędzałam całe godziny w zadumie, z głową wspartą na rękach, wpatrzona oczami duszy w obraz mej przyszłości, którą podniecony umysł malował w najczarniejszych barwach.

Od czasu do czasu udawałam się do Belle Vue; nie szłam już tam jednak śmiało i odważnie ,jak dawniej. Wychodziłam pokryjomu, nie uprzedzając nikogo w Presec i kołując bocznymi ścieżkami. Przedłużało to wprawdzie drogę, lecz oddalało również od zwykłej ścieżki, na której mogłam spotkać Piotra Desormiers.

W pałacu otrzymywałam zawsze tę samą odpowiedź na me pytania:

— Panna Blanka nie pisała. A przecież to już dwa tygodnie upłynęło od operacji pana Janusza. Rezultat jest już chyba znany.

Nieśmiało z początku, w miarę zaś jak czas upływał, coraz odważniej, pisałam do Blanki, usilnie prosząc o wiadomości, jakie by one nie były.

Wreszcie odpowiedź nadeszła... Odpowiedź okrutna i bolesna zarazem, odejmująca mi wszelką nadzieję na zobaczenie Janusza i wiarę w jego interwencję w moich sprawach.

„Brat mój został zoperowany, droga Sabino... Poznałam godziny trwogi, poprzedzające straszne chwile, gdy oczekuje się na rezultat pracy lancetu, krającego ciało ludzkie. Poznałam słodką i niespodziewaną radość, gdy brat mój mnie poznał. Rozmawiał ze mną, dodawał mi odwagi, dawał mi zlecenia... Byłam nieprzytomna z radości, nie przypuszczając, iż to polepszenie może trwać tak krótko, że umysł, który powrócił do życia, może zgasnąć na zawsze w parę godzin zaledwie od chwili, gdy miałam szczęście ujrzeć go, wydobytym z mroków nicości w której był pogrążony.

„A jednak stało się!

„Mój brat przeżył kilka godzin takim, jakim znałam go dawniej. A potem świadomość jego zapadła się ponownie w ciemność.

„Nie powiedziałam ci jednak dotychczas droga Sabinko, jak się to wszystko stało. Napiszę ci więc szczegółowo, byś mogła zrozumieć w jakim strapieniu żyję teraz.

„Doktór Taillet, którego kompetencji nie można poddawać w wątpliwość, stwierdził, iż bezpośrednią przyczyną paraliżu, obezwładniającego mego brata, jest guz w stosie pacierzowym, uciskający układ nerwowy mózgu i rdzenia.

„Po dokładnym oznaczeniu miejsca nowotworu, przy pomocy promieni Röntgena, chirurg usunął go drogą operacji. Nadzwyczajny wynik był rezultatem tego śmiałego zabiegu: brat mój odzyskał rozum, mowę i swobodę ruchów.

„Tak było przynajmniej przez kilka dni, w czasie których można było mieć nadzieję na najlepsze.

„Na nieszczęście długie lata bezwładu osłabiły ogromnie organizm mego brata.

„Gdy pełna radości sądziłam, iż mój kochany Janusz został na zawsze wydobyty z mroku, w którym był pogrążony, doktór Taillet spostrzegł, iż anemia mózgu podkopuje siły mego brata i że świadomość, którą zdołał wskrzesić, gaśnie z dnia na dzień.

„Nie umiem wyrazić ci mej rozpaczy, gdy doktór podzielił się ze mną swymi obawami, i gdy śledząc Janusza z wytężoną uwagą, zdałam sobie sama z tego sprawę, iż władze umysłowe mego brata giną z zawrotną szybkością z minuty na minutę...

„Wkrótce nadszedł wieczór, w którym, z sercem rozdartym rozpaczą, spostrzegłam, iż Janusz mnie nie poznaje!

„Jakież okrutne chwile przeżyłam potem!

„Doktór Taillet, serdecznie przemawiając do mnie, zdołał zaledwie odciągnąć mnie od łóżka ,na którym spoczywał mój brat bez przytomności. Upadłam przy nim łkając, jak przy łożu umarłego.

„Następnych dni jednak, mimo orzeczenia chirurga, nosiłam w sercu słabą nadzieję, iż mój ukochany brat nabierze sił i potrochu, powoli odzyska świadomość.

„Niestety! nadzieja ta zawiodła mnie również... Z biegiem czasu musiałam pogodzić się z rzeczywistością.

„Brat mój odzyskał władzę w członkach, chodzi, porusza się, jak człowiek normalny. Umysł jednak... powiem tylko jedno słowo, moja biedna Sabinko, mój brat jest obłąkany! Jego choroba umysłowa jest tego rodzaju, iż będę musiała zapewne rozstać się z nim...

„Ta perspektywa jest okropna. Mój brat obłąkany, pośród innych szaleńców. Czy rozumiesz dobrze, Sabinko, ile bólu mieści się dla mnie w tej myśli?

„Nie chcę już jednak dłużej zasmucać cię mymi skargami. Doktór Taillet tłumaczy mi, iż muszę przyjąć ten cios z rezygnacją. Dla niego więc, dla doktora Taillet, który okazał mi tyle serca w czasie mych ciężkich przejść, który doznał srogiego zawodu jako lekarz, wierzący w swą metodę uzdrawiania, chcę opanować swój żal i zdobyć się na odwagę otarcia łez, by się na nowo uśmiechać.

„Trzeba zapomnieć o sobie, Sabinko; pragnę stłumić swój żal dla pokoju wielkodusznego i niezwykłej dobroci człowieka, jak doktór Taillet. Jest on już dość zmartwiony tym, iż nadzieja, którą wpoił we mnie została zniszczona przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Chirurg uzdrowił ciało; Bóg jednak nie zezwolił, by cud się spełnił całkowicie. Skłońmy się przed jego wolą. Proszę cię, Sabinnko, byś potrafiła być równie zrezygnowaną i dzielną jak ja.

„A teraz, kochanie, muszę cię powiadomić o pewnych zleceniach Janusza, które mi powierzył w czasie tych kilku dni, gdy był przytomny.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WOJCIECH HOLM

82)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Myśli jego zaczęły się plątać. Zdawało mu się, że jest u Marii Śnieżnej, i że całe góry śniegu i lodu na pierś jego spadają.

— Ach, ach — stękał — nie mogę oddychać! Anno — Mario, zdejm te góry z mej piersi, zlituj się! Ja się poprawię i odpokutuję swe winy! Nie duś mnie, na Boga! Matko, matko, na pomoc!

— Tu przecież jest ktoś schowany — zawołał teraz urzędnik policyjny, do którego ucha doszły szmery — głos pochodził od strony kanapy!

To rzekłszy, odsunął znów kanapę, na której leżała pani Hai i zaczął na nowo oglądać tapety.

Jeżeli odnajdzie Teobalda, to go rzucę na ziemię i zaduszę — pomyślała Haiowa. Nie wzdrygała się nawet przed mordem, aby uratować syna.

Wtem dotknął urzędnik sprężyny, drzwiczki odskoczyły, i okazały schowanego tam Teobalda.

Ledwo pani Hai na niego spojrzała, krzyknęła dziko i wyciągnąwszy go gwałtem ze schowka, położyła na kanapę i zluźniwszy jego ubranie, otworzyła okno, i zaczęła wołać o pomoc.

Wyglądał rzeczywiście okropnie. Był siny i miał twarz skrwawioną do niepoznania.

— Pomocy, pomocy — wołała nieszczęśliwa kobieta — mój syn, mój jedynak ginie! Doktora, pomocy! Mój Boże, nie zabierzesz mi przecież jedynego syna!

Urzędnik policyjny odwrócił się przerażony; widział bowiem, że Teobald już jest trupem i że nic mu więcej nie pomoże.

Teraz dopiero zrozumiała nieszczęsna matka prawdziwy stan rzeczy.

— On nie żyje! — krzyknęła ona — a pan go zabiłeś! Bez szpiegowania pana, byłby on jeszcze żył i wyzdrowiał.

Wreszcie urwała, piana stanęła na jej ustach. Z przeraźliwym jękiem padła w konwulsjach na ziemię.

. . . .

W tym samym czasie i stary Hai próbował daremnie się uratować.

Gdy Szperling wszedł za nim do laboratorium, otworzył aptekarz małą szafeczkę, w której owe papiery wartościowe miały się znajdować, w rzeczywistości jednak na to, aby wyjąć flaszeczkę z chloroformu.

Chciał on zawartość tej flaszeczki wylać prędko na gąbkę i uśpić detektywa podsunąwszy mu ją pod nos; lecz Szperling domyśliwszy się o co aptekarzowi chodzi, wytrącił mu flaszeczkę z ręki, tak, że upadła na ziemię i roztrzaskała się na drobne kawałki.

Rozpoczęła się między nimi krótka, ale zacięta walka, z której Szperling jako młodszy i silniejszy, wyszedł zwycięzcą.

Widząc się pokonanym, jęknął Hai:

— Miej pan litość nade mną i oszczędź mi wstydu. Daj mi się pan otruć, a ja daruję panu cały swój majątek, który mam przy sobie!



W Poczdamie odbył się ślub księcia Ludwika Ferdynanda Pruskiego z wielką księżniczką Kirą, córką wielkiego księcia Cyryla rosyjskiego.

— Nie — odparł Szperling — ja się nie dam przekupić.

Nie pomogły prośby i nalegania Haia, i w dziesięć minut później opuścił Hai okuty w kajdany i pod policyjnym dozorem dom, w którym przez tyle lat mieszkał.

W godzinę później siedział w pustej celi więziennej zrozpaczony, mrucząc:

— Czy mi będą mogli dowieść mojej zbrodni?

O żonie i synu swym nawet nie pomyślał.

Co go obchodziła Selma, co go obchodził Teobald? On tylko się troszczył o swoją skórę.

ROZDZIAŁ CCCX.

Niczym ogień wobec płomienia w sercu ludzkim!

Okręt „Star of America" miał za kilka minut przybić do portu.

Większa część pasażerów stała na pokładzie oczekując z niecierpliwością widoku obcego portu.

Między nimi była i Francis, ale w jej oczach tlił złowrogi płomyk i nadzieja rychłej zemsty.

Gdy Bill do niej przystąpił, wzdrygnęła się przestraszona, tak pogrążona była w czarnych swoich myślach.

— Oho, taka nerwowa, jak jaka miejska panna — zaśmiał się Bill — to nie wypada dziewczynie wychowanej w lasach dziewiczych!

— Przestań z żartami — ofuknęła go Francis — wysiadamy za kilka minut na ląd i ja ci przypominam jeszcze raz twoje przyrzeczenie. Ty masz pójść swoją drogą, a ja swoją!

Twarz Billa zasmuciła się.

— Ależ Francis — zaczął on proszącym tonem — czy naprawdę obstajesz przy swoim i chcesz mnie się pozbyć? Jesteś młoda i piękna, a świat jest pełen niebezpieczeństw. Potrzeba ci opiekuna! Pozwól, abym przy tobie został Francis, jako twój brat i przyjaciel!

— Nie potrzebuję brata ani przyjaciela! — odparła dziewczyna szorstko. — Nie narzucaj mi się, i jeżeli nie dotrzymasz przyrzeczenia, to będę cię uważała za człowieka bez honoru.

— Ja zawsze dotrzymuję słowa! — rzekł Bill dumnie. — Bądź spokojna, Francis, ja ci nie będę ciężarem. Ani chwili dłużej nie będę ci się naprzykrzał. Bądź zdrowa i szczęśliwa!

Podał jej na pożegnanie rękę i łzy zabłysły w poczciwych jego oczach.

Francis była mimo woli wzruszona. Uścisnęła ona rękę jego serdecznie i rzekła drżącym głosem:

— Bądź zdrów, dobry Billu, i oby ci się zawsze tak powodziło, jak na to zasługujesz!

Bill oddał jej uścisk i puścił jej rękę w milczeniu.

Francis popatrzyła za nim zdziwiona i smutna. Wtem zobaczyła, że się zbliżył do tej młodej Angielki, z którą się podczas jazdy zaprzyjaźnił, i że ona bardzo mile się do niego uśmiechnęła.

Widząc to, odwróciła się Francis gniewnie. Nie chciała nic więcej o Billu wiedzieć, ani słyszeć.

Okręt przybił do portu i zaczęto przeprawiać pasażerów łódkami na ląd.

Francis nie zważała zupełnie na swego dawnego towarzysza i skoro tylko stanęła na lądzie, zapytała:

— Kiedy okręt „Garfield" przybił do portu?

Był to okręt, którym się Leon przeprawiał do Europy.

— Jeszcze go nie ma, panienko! — była odpowiedź żeglarza.

— Ależ „Garfield" wypłynął o trzy dni wcześniej od naszego okrętu! — zdziwiła się Francis.

— Może okręt ten stanął w Bremenhaven, albo w innym jakimś porcie — zauważył żeglarz.

To było możliwe, a Francis przedtem wcale o tym nie pomyślała.

Zaczęła się dopytywać i dowiedziała się wreszcie, że „Garfield" nie przybił jeszcze do żadnego europejskiego portu.

To ją uspokoiło na chwilę. Nie przypuszczała, aby się Leonowi coś złego na okręcie stać mogło i uważała to za dobry omen, że przed Leonem do Europy przybyła. Postanowiła też udać się jak najprędzej do Wiednia.

Straciła ona Billa zupełnie z oczu i to jej było na rękę.

Zajechała do pobliskiego hotelu i poinformowała się tam co do pociągów. Najlepszy pociąg do Austrii pod względem połączenia odchodził rano i Francis postanowiła w tym hotelu przenocować.



Mussolini, Hitler i król włoski w czasie odbierania defilady podczas pobytu kanclerza Rzeszy we Włoszech.

Nie poszła jednak do miasta, aby je obejrzeć. Co ją to obchodziło? Myślała tylko o swej zemście i tryumfowała już w duchu, że jej się to uda. Nie czuła jednak żadnej satysfakcji i była smutna i zadumana.

Hałas i zgiełk dolatujący od strony portu oznajmił przybycie nowego okrętu. Francis ocknęła się ze swego zadumania i przypomniawszy sobie, że musi jeszcze uzupełnić toaletę, ubrała się i wyszła z hotelu.

Na schodach spotkała mężczyznę, który był dziwnie do Leona podobny. Obejrzała się za nim zdziwiona, ale było już tak ciemno i obcy tak się spieszył, że niepodobna było sprawdzić to przypuszczenie. Odrzuciła też tę myśl jako fantazję, sądząc, że się jej dlatego przywidział, bo wciąż o nim myślała.

Porobiła prędko swoje sprawunki i wróciła do hotelu. Kazała sobie podać kolację, ale ledwo ją tknęła, nie wiedząc nawet, co je. Siedziała tak do późna, pogrążona w samotnym dumaniu.

Gdy zegar wieżowy wybił jedenastą, rozebrała się prędko i położyła się do łóżka. Usnęła silnie i miała we śnie dziwne wizje.

Zdawało jej się, że była u Hortensji i szeptała jej do ucha jadowite oszczerstwa, którym Hortensja jednak nie wierzyła. „Nie opuszczę go" — odpowiedziała — „choćby on wszystkie grzechy świata miał na sumieniu, bo serce me, dusza i ciało do niego należą i wiecznie do niego należeć będą". Mówiąc to, zaczerwieniła się z gniewu i oburzenia. Francis byłaby chętnie udusiła własnymi rękoma tę piękną anielską kobietę! Postanowiła ją zamordować i w tym celu zwabiła ją do jednego pokoiku, w którym ją na klucz zamknęła. Potem ułożyła stos drzewa i podpaliła go. Płomień i dym wznosił się wysoko w górę, a Francis rzuciwszy znienawidzoną kobietę na stos, poiła wzrok swój jej męką i chwytała chciwym uchem jej jęki. Zdawało się jej, że czuje duszący dym w pobliżu; dym, który ją dusił.

Nagle zbudziła się i wyskoczyła przestraszona z łóżka.

Czy to sen, czy rzeczywistość? — pomyślała, bo rzeczywiście gęste kłęby dymu otaczały jej łoże, a jasny płomień zbliżał się coraz bliżej do niej.

Nie, to nie był sen; to była okropna rzeczywistość! Francis była w największym niebezpieczeństwie życia. Groziła jej śmierć w płomieniach, którym we śnie chciała ukarać swoją rywalkę!

Z przeraźliwym krzykiem wyskoczyła Francis z łóżka i zarzuciła na siebie szlafrok. Przybiegłszy do okna, otworzyła je szybko i zobaczyła tłum ludzi, gapiących się ciekawie na dom w płomieniach, ale nikt nie spieszył na ratunek i pomoc.

Francis błagała o pomoc i załamywała ręce w rozpaczy, ale nikt się nad nią nie zlitował i nie przybiegł na jej ratunek.

Setki innych lamentowały i krzyczały tak samo jak ona!

Wtem nadjechała straż ogniowa. Ale jak długo to trwało, nim ustawili drabiny!

A tymczasem niebezpieczeństwo Francis zwiększało się z każdą sekundą. Coraz bliżej dochodziły ją płomyki jak olbrzymie węże.

W rozpaczy swojej wdrapała się Francis na okno i chciała skoczyć na ulicę, ale było tak wysoko, że byłaby się z pewnością rozbiła na miazgę.

Tu śmierć w płomieniach, tam przez rozbicie się! Nie miała innego wyjścia!

Ogarnęła ją gwałtowna, namiętna skrucha z powodu zemsty, którą knuła i zaczęła się gorąco modlić do Boga o łaskę i przebaczenie. Nie chciała umrzeć nieprzygotowana. Pogardzała sobą w tej chwili i jęczała w głębi swej duszy:

„Boże, bądź miłościw mnie grzesznej! Boże, bądź miłościw!

Wtem usłyszała tuż obok siebie znajomy sobie głos:

— Francis, czy to możliwe? ty tutaj?

Spojrzała i poznała Leona, który stał przy niej.

— Ratuj się, ratuj się! — krzyknęła rozpaczliwie — ty nie śmiesz zginąć!

Zapomniała o swej nienawiści i zemście i byłaby w tej chwili poświęciła swoje życie dla Leona. Straszne niebezpieczeństwo stłumiło w niej wszystkie złe namiętności i powróciło jej sercu pierwotną dobroć.

— Uratuję siebie i ciebie — odparł Leon — albo się we dwoje uratujemy, albo we dwoje zginiemy! Przysiągłem twemu ojcu, że się tobą będę opiekował!

To rzekłszy, złapał ją w silne ramiona i skoczył z nią na balkon pierwszego piętra, dokąd jeszcze płomień nie doszedł.

— Jesteśmy uratowani — szepnął Leon — przystawią nam tu drabinę.

Francis uścisnęła mu rękę w milczeniu. Wszystko wokoło zdawało się jej okropnym snem. Tylko jedno jej było jasne: byłaby z rozkoszą umarła w objęciach Leona.

Drabina już stała w pogotowiu i Leon zniósł Francis po niej ostrożnie.

Ledwo jednak zeszli w bezpieczne miejsce, gdy część budynku zapadła się z trzaskiem i łoskotem. O chwilę wcześniej, a Leon byłby zginął z Francis pod gruzami.

Dziewczyna zadrżała i kolana się pod nią ugięły. Leon wziął ją czule w ramiona i pociągnął ją za sobą w tłum.

Wtem, przepchała się przez tłum do nich olbrzymia postać męska i znany a trwożny głos zawołał: „Francis!"

W następnej chwili leżała Francis w ramionach Billa, a on całował i ściskał ją, niepomny na otaczających ich ludzi.

— Chwała Bogu, że ona żyje! — wołał uradowany.

Francis nie broniła się. Leżała na jego piersi, rozpływając się we łzach.

Tak sprowadziła i pogodziła Opatrzność tych dwoje ludzi!

. . . .

W godzinę później wszyscy byli w hotelu Billa.

Poczciwy chłop nie spuścił Francis tak zupełnie z oka, jak ona myślała.

Wiedział do którego hotelu zajechała i ulokował się niedaleko niej.

Gdy go w nocy zbudził alarm na ogień pomyślał zaraz o Francis, i zbiegłszy na dół dowiedział się, że rzeczywiście palił się hotel, w którym ona mieszkała.

W szalonej trwodze pobiegł na miejsce pożaru i przybył tam właśnie w chwili, gdy się górna część budynku zapadła. Jęknął żałośnie na myśl, że może Francis już padła ofiarą płomieni, gdy wtem zobaczył bladą i przelęknioną twarz swej ukochanej.

W następnej chwili miał nieprzystępną dziewczynę w swoich ramionach i znalazł się w najszczęśliwszej chwili swego życia.

We troje doszli do jego hotelu. Bill położył Francis na kanapę i nacierał jej skro-

nie koniakiem. Potem wsączył jej trochę wina do ust i starał się rozgrzać ręce i nogi.

Ona patrzała na niego z wdzięcznością i szeptała od czasu do czasu:

— Uspokój się, dobry Billu, mnie już o wiele lepiej!

Uspokojony tym zapewnieniem Bill zwrócił się do Leona, który siedział zamyślony w pewnym oddaleniu.

— A teraz powiedz mi mój chłopcze — zawołał Bill — skąd ty się właśnie tu wziąłeś?

— Rzecz całkiem prosta — odparł Leon — mój okręt przybył dopiero wczoraj wieczorem do Hamburga, bośmy się trochę w drodze opóźnili, a ja zajechałem do najbliższego hotelu, aby nazajutrz rano dalej koleją jechać. W nocy wybuchł ogień; ja chciałem się przez okno wyratować i ku swemu największemu zdziwieniu, zobaczyłem Francis obok siebie. Resztę wiecie przecież!

— Nie jestem zazdrosny — rzekł Bill — ale tego wyratowania dziewczyny, to ci zazdroszczę!

Francis podniosła się z kanapy i zbliżyła się po cichu do Billa i Leona. Była śmiertelnie blada i miała łzy w oczach.

— Uratowałeś mi życie, Leonie — rzekła wzruszona — w chwili, gdy każdy tylko o sobie i swoim bezpieczeństwie myślał. Nie wiesz jednak jak złą i przewrotną osobę uratowałeś! Ja ci się chcę do wszystkiego przyznać! Jam doprawdy nie warta twej dobroci; szkoda, żeś mi nie dał w płomieniach zginąć. Było by to dla mnie tylko zasłużoną karą!

— O, nie mów tak, mój gołąbeczku — mitygował ją Bill wzruszony.

— Daj mi skończyć! — krzyknęła dziewczyna dziko — ja muszę się pozbyć tego ciężaru z mej duszy! Czy wiecie, pocom do Europy przybyła? Czy wiesz, dlaczegom cię od siebie odepchnęła, mój wierny Billu? Miałam nikczemne zamiary, pełne nienawiści i chęci zemsty! Chciałam pójść do twej żony, Leonie, i oczernić cię przed nią! Chciałam wzniecić między wami niezgodę i na wieki was rozdzielić.

Zakryła twarz rękoma i zaczęła płakać.

— Jakże to chciałaś uczynić, kiedy nie znasz imienia i adresu mej żony? — spytał Leon.

— Nie znasz jeszcze całej mej winy, Leonie! — zawołała Francis z rozpaczą — podchwyciłam ten list do twojej żony, który ś mi kazał nadać; przeczytałam go, a później zniszczyłam!

W niepocieszonym utrapieniu padła przed nim na kolana i tak czekała jego wyroku.

Ale on podniósł ją i zapytał uradowany:

— Powtórz to jeszcze raz Francis! Więc moja żona naprawdę nie dostała tego listu?

— Nie, nie dostała — jęknęła Francis.

— A ja się tak martwiłem, że nie miałem od niej odpowiedzi — cieszył się Leon — robiłem tysiączne przykre przypuszczenia i daremnie się dręczyłem, obawiając się jej śmierci, albo jej niewierności! Oddałaś mi zeznaniem swym nową nadzieję, dziewczyno! Wierzę teraz, że ona czeka wiernie na mnie, ta moja najdroższa kobieta!

W zachwycie swym zapomniał zupełnie o Francis, ale gdy znów na nią spojrzał, promieniejąca twarz jego spoważniała.



W Bukareszcie odbył się festyn tańców ludowych. Na zdjęciu fragment pochodu uczestniczek.

— Proszę cię Francis — rzekł łagodnie — wstań i bądź przekonaną, że ja ci z całego serca wybaczam, i oby mi Bóg moje grzechy kiedyś tak wybaczył.

Podniósł ją po raz drugi i złożył lekki pocałunek na jej czole. Ona zadrżała lekko.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi i niech cię za to błogosławi — szepnęła.

Potem przystąpiła do Billa, który stał blady przy ścianie i rzekła błagalnie:

— Billu, przebacz i ty mnie, szalonej dziewczynie.

— Nie mam ci nic do przebaczenia — rzekł stłumionym głosem.

— Pogardzasz mną? — krzyknęła Francis — Patrz na moją rozpacz i daj mi choć jedno słowo pociechy!

Bill jęknął z głębi serca; ale milczał.

— Błagam cię o jedno dobre słowo! — jęczała dziewczyna — czyż twoja miłość dla mnie tak zgasła, że mi nawet przebaczyć nie możesz?

— Wybaczam ci — rzekł Bill z trudnością, a dwie duże łzy stoczyły się po jego bladych policzkach.

— Dzięki ci, ułatwiasz mi śmierć! — szepnęła prawie niezrozumiale.

Potem pocałowała Billa w rękę i zwróciła się ku drzwiom. Na progu odwróciła się jeszcze raz i rzekła miękkim głosem: „Bądźcie mi zdrowi i szczęśliwi!"

Potem znikła spiesznie, a Bill i Leon spojrzeli za nią w niemym osłupieniu.

ROZDZIAŁ CCCXI.

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada

Już podczas przejażdżki zaczęła się Sylwia odsuwać od pani Schnorr, której brutalność i nieokrzesanie ją odstraszało.

Daremne były wszystkie zabiegi pani Schnorr celem uzyskania przyjaźni panny Herbert.

Gdy wylądowali zbliżyła się pani Schnorr znowu do Sylwii i rzekła:

— Pani była tak uprzejma dla mnie w ciągu podróży, że chciałabym się pani koniecznie czymś zrewanżować. Zapraszam więc panią na kilka tygodni do domu mego syna, aby pani trochę wypoczęła po trudach podróży!

Ale Sylwia odmówiła jej uprzejmie, tłumacząc się, że nie jest zmęczona, i że musi w ważnym interesie niezwłocznie dalej jechać.

— Pani się pewno wymawia dlatego, że mój syn jeszcze nie żonaty! — zaśmiała się pani Schnorr. Niechże sobie pani przynajmniej obejrzy jego dom. Jak się pani nie będzie podobało, to może pani każdej chwili odejść! Nikt panią nie będzie zmuszał do zostania!

Niech cię tylko złapię ptaszku — pomyślała w duchu — to cię już nie wypuszczę!

— Serdecznie pani dziękuję — odparła Sylwia, ale mój czas tak jest obliczony, że nie mogę ani jednej minuty poświęcić wizytom.

Pani Schnorr nie dała się jednak zbić z tropu i tak nalegała, aby Sylwia choć na godzinę do niej poszła, że dziewczyna nie mogła jej się oprzeć i już zamierzała dać jej swe przyrzeczenie.

Lecz w tej chwili przystąpił do niej baron Geldern, który przypadkowo słyszał ich rozmowę i rzekł do Sylwii po francusku:

— Ostrzegam panią przed tą podejrzaną osobą! Niech się pani za nic w świecie nie da się gdzieś zwabić, bo ona czyha na pani zgubę!

— Dziękuję panu za przyjacielską radę — odparła Sylwia również po francusku — chciałam jej bowiem właśnie przyrzec, że z nią pójdę.

— Panie baronie — rzekła pani Schnorr obrażona — to niegrzecznie z pana strony, że pan rozmawia z panną Herbert w języku, którego ja nie rozumiem. Brzmi to tak, jak gdyby mnie pan był oczernił



W Bukareszcie odbyła się konferencja państw małej Ententy, w której wzięli udział (od lewej): premier jugosłowiański dr. Stojadinowicz, rumuński min. spraw zagr. Comnen i czeski min. spr. zagr. Krofta.

przed panną Sylwią! Jestem pewna, że to o mnie była mowa!

— Jeżeli pani koniecznie chce wiedzieć, co ja powiedziałem — odparł baron — to ja to pani mogę dosłownie w niemieckim języku powtórzyć. Ostrzegałem pannę Herbert przed panią!

Oczy pani Schnorr zabłysły złowrogo i złośliwie.

— Bardzo to uczciwie z pana strony — zawołała oburzona — ostrzeniać uczciwą kobietę! Widocznie pana w oczy kole, że ja się tą piękną i młodą dziewczyną opiekuję. To panu pewnie nie na rękę, bo chciałby ją pan do siebie zwabić! Jestem pewna, że panna Sylwia w oszczerstwa pana nie wierzy, bo zna mnie dokładnie, nieprawdaż?

— Znam panią bardzo mało! — odparła Sylwia chłodno.

— Ale pozna mnie pani, podczas swej wizyty u mnie, rzekła stara wiedźma z godnością.

— Niestety nie będę miała czasu na to — odparła Sylwia — gdyż jadę niezwłocznie dalej.

— To pana sprawka — syknęła pani Schnorr, zwracając się do barona, ale ja się panu za to odwdzięczę!

Baron wzruszył tylko pogardliwie ramionami i zwróciwszy się do Sylwii, zapytał:

— Czy będzie panią oczekiwał ktoś z krewnych?

— Nie mam żadnych krewnych ani znajomych w Ameryce, odpowiedziała Sylwia, i byłaby baronowi szczerze powiedziała w jakim celu tu przyjechała, gdyby nie obecność pani Schnorr.

Baron polecił jej hotel, do którego by mogła zajechać, ale Sylwia obawiała się, że za drogi dla niej będzie. Zapytała więc jedną z pasażerek trzeciej klasy, czy nie zna w New-Yorku jakiegoś taniego, a porządnego zajazdu, dla młodych dziewcząt.

— Owszem, znam — odparła zapytana — zajazd Biedermanna, Hamiltonstreet 128. My także tam zajeżdżamy!

Sylwia podziękowała za adres, z którego obiecała skorzystać.

Nie miała niestety pojęcia, że pani Schnorr podsłuchała tę rozmowę i postanowiła do tego samego hotelu zajechać.

Większa część pasażerów wyszła na pokład i oczekiwała niecierpliwie wylądowania.

Wreszcie i ta chwila nadeszła.

Sylwia miała tylko mały pakuneczek. Skinąwszy więc na Murzyna zapytała go po angielsku, czy zna drogę do zajazdu Biedermanna i czy nie zaniósłby jej tam walizki.

Murzyn skinął potwierdzająco głową i wziąwszy walizkę Sylwii na plecy, popędził żwawo naprzód. Sylwia postępowała prędko za nim, nie mając pojęcia, że pani Schnorr ją śledzi. Godna ta osoba zostawiła pakunki swe u jednego z dozorców portowych, aby ofiary swej ani na chwilę z oka nie spuścić.

Długa droga męczyła panią Schnorr niesłychanie, ale ona przezwyciężała znużenie i pragnienie, aby tylko osiągnąć swój cel.

Po długiej wędrówce zdążyli wreszcie do zajazdu Biedermanna.

Pani Schnorr pozwoliła Sylwii naprzód wejść i zaczekała z kwadrans przed domem, aby nie ściągnąć na siebie podejrzenia. Potem weszła z najniewinniejszą miną w świecie i rozmówiwszy się z panią Biedermann o warunki mieszkania zapytała od niechcenia:

— Czy panna Herbert ma osobny pokój?

— Tak jest — odparła zapytana — mieszka pod numerem 3 i jutro rano dalej jedzie.

O, nic z tego, triumfowała Schnorrowa w duchu — domieszam ja jej do jej wody coś takiego, że ona się długo nie będzie mogła podnieść z łóżka.

Sylwia miała zwyczaj pić zawsze przed spaniem szklankę wody, a znając tę jej nawyczkę, postanowiła stara Schnorrowa domieszać jej kilka kropel atropiny; nie tyle aby ją otruć, ale dość, aby jej przysporzyć poważnej choroby.

Chciała się bowiem w czasie tej choroby do niej zbliżyć i wziąć ją całkiem w swoją moc.

— Wszyscy goście jedzą razem w jadalni — rzekła pani Biedermann — a kto nie przychodzi wczas, ten nic nie dostaje.

— Dobrze, odparła Schnorrowa, zastosuję się do porządku domowego.

Ale w duchu pomyślała znów:

Jak Sylwia zejdzie na kolację, to ja się wkradnę do jej pokoju i wleję atropinę do karafki z wodą. Jestem pewna, że ona pójdzie na kolację, bo musi być porządnie głodna.

Z tym zamiarem poszła do swego pokoju, aby w ukryciu czekać na wieczerzę.

Na korytarzu spotkała młodą elegancką damę, która popatrzyła na nią bystro i mruknęła potem do siebie: „Tę osobę powinnam znać".

Potem przystanęła na chwilę, i uderzywszy się w czoło zawołała:

Jeśli się nie mylę, to jest ta stara czarownica Schnorrowa!

Pobiegła szybko do pani Biedermann i zapytała:

— Kto jest ta pani, która mieszka pod numerem czwartym?

— To jest wdowa, niejaka pani Schnorr z Wiednia, była odpowiedź gospodyni.

Obca dama wydała gniewny okrzyk i pobiegła szybko do swego pokoju.

— Henryku, Henryku, znalazłam ją! — krzyknęła ona do pięknego, okazałego mężczyzny, złapawszy go za plecy.

— Kogo znalazłaś, Emo? — zapytał mężczyzna zdziwiony.

— Tego diabła w postaci ludzkiej, tę starą Schnorrową — zawołała młoda kobieta ochrypłe. Henryku, ty musisz się na niej za mnie zemścić!

Mężczyzna, który był jej mężem, złapał za rewolwer i syknął:

— Ta kobieta jest tu? Odpokutuje ona za swoje grzechy! Muszę się tylko przekonać, czy to rzeczywiście ona, i biada jej wtedy! Poczekaj ty tu, a ja się pójdę dowiedzieć.

Pobiegł szybko, i wróciwszy po krótkim czasie, rzekł:

— Przybyła tu sama, ale widocznie śledzi tu jedną młodą pannę, która mieszka pod numerem trzecim. Będziemy ją teraz obserwować; może ją złapiemy na gorącym uczynku, i uratujemy tę obcą od zguby.

Ema odchyliła drzwi od swego pokoju i zaczęła nadsłuchiwać.

Gdy się odezwał dzwonek wzywający na wieczerzę, zobaczyła przez szparę drzwi, że młoda dama z pod numeru trzeciego zeszła na dół.

Przez chwilę słychać było otwieranie i zamykanie drzwi, potem wszystko ucichło.

Wtem otworzyły się drzwi z pod numeru czwartego i pani Schnorr wysunąwszy się z nich ostrożnie, wkradła się do pokoju Sylwii.

Nie przeczuwała ona naturalnie, że ją ktoś podgląda.

W pokoju Sylwii paliła się świeczka. Pani Schnorr wyciągnęła z kieszeni flaszeczkę i zaczęła płyn w niej zawarty wlewać do karafki z wodą, gdy wtem

Ciąg dalszy na stronie 413.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

MAJOWA, CICHA NOC...

Srebrzysty tuman mgły,
przesłonił naszą miłość.
W kielichach śpiących kwiatów
Serce się Twe ukryło...
Srebrzysty tuman mgły
przesłonił oczy Twoje.
Listowiem na wietrze drżą
tęsknoty niczyje — — bo moje...
Srebrzysty tuman mgły,
w poświacie lśni miesiąca.
Słyszę — jak szept twój
Z róż rosę w ciszę strąca...
Majowa, cicha noc...
gwiazdami spogląda w nas...
drzemie w uśpionych kwiatach
miłości — — odległy czas — —

Józef Baranowski.

WSTĘPUJESZ W WOLNY KĄCIK

„Niezapominajka III". Ogromnie wzruszyły mnie te wszystkie, o nader rewelacyjnej formie, wiadomości, zawarte w Twoim pierwszym do mnie liście, Dziewczynko!

Tak, pamiętam, jak przyjmowałam w poczet członków naszej „Rodzinki" Twoją nieodżałowaną przyjaciółkę: „Bladolicą Bydgoszczankę". A dziś, jej postać należy już do mitów nieledwie, wpadła w ciche wody rzeki, co płynie martwo, lecz nigdy nie wraca i nikomu wrócić nie pozwala. I nic tu nie poradzą nasze bunty i rozpacze. Kamień w wodę, — na powierzchni kręgi! A czym ten kamień jest cięższy, możnaby w przenośni rzec, czym wartościowszy i z im większym rozmachem rzucony — tym te kręgi będą większe i liczniejsze. Recte, im człowiek wartościowszy, tym dłuższą i silniejszą pozostawia po sobie pamięć.

Myśl ukojną daje mi Twoje, Dziecino, zapewnienie, że chora cieszyła się z mej odpowiedzi, że fakt przyjęcia jej do „Krainy" dał jej chwile tak szczerze jasne i że ostatni uśmiech umierającej dla nas był przeznaczony. Jest to doprawdy wzruszające — wiadomość ta wryła mi się tak dokładnie w pamięć i duszę, że chyba nigdy już stamtąd nie uleci!

Ciebie zaś serdecznie przyjmuję — w myśl życzenia Twej śp. przyjaciółki — w wolny po niej kącik i przez pamięć na nią zostaję Twoją najżyczliwszą przyjaciółką. „Rodzinka" — pewna jestem — pójdzie w moje ślady i przygarnie Cię tkliwie do siebie.

Więc czuj się dobrze, Dziecinko, wśród nas i pisz często, abyśmy zawsze byli zorientowani, jak Ci się powodzi i jak się czujesz!

Całuję Cię czule i zamieszczam komunikaty: Imienniczce mej „Marteczce" ślę pozdrowienia i zapytuję, czy imieniny jej przypadają również w lipcu, o ile „Marteczka" nie jest pseudonimem oczywiście.

„Wesoła Maruszko". Jesteś Bydgoszczanką? Napisz — może znamy się! Czekam!

„Smutnej Ślązaczce" życzę wszystkiego najlepszego!

„Czarnulce z Grudziądza", „Faridzie", „Młodzianowi" i „Aramisowi" przesyłam serdeczne pozdrowienia oraz wszystkim sympatykom „Krainy" z gorącą prośbą o miłe liściki.

NIE WOLNO!

„Lang Cheng". Pewnie, Kochana, że gdy się człowiek przekona, iż go ludzie karmili fałszem i obłudą, to go to bardzo boli i przez dłuższy czas nie potrafi im wierzyć, jak dawniej. Ale z drugiej strony nie wolno człowiekowi odsuwać się od wszystkich bliźnich z tej nieprzekonywującej racji, że kilku, czy nawet kilkunastu ich braci uczyniło mu krzywdę. Kilkunastu uczyniło, kilkudziesięciu mogłoby jeszcze uczynić, lecz kilkaset i więcej pozostałych nie uczyni Ci krzywdy nigdy, a może wręcz przeciwnie, okaże Ci zrozumienie i serce. Więc właśnie dla tego multum pozostałych nie wolno odsuwać Ci się od wszystkich, nawet od tych nielicznych, co zawodzą i krzywdzą. Zrozumiałaś mnie, Maleńka?

W sprawie Twego pytania odpowiadam, że nie powinnaś ani unikać, ani też zbytnio szukać tej osoby. Obcować z nią naturalnie i miło, bez specjalnej czy to wiary, czy ufności. Na to będziesz miała jeszcze zawsze dość czasu — na razie ważnym dla Ciebie będzie poznanie charakteru tego człowieka. Jeżeli będzie Ci odpowiadało wszystko, albo dużo w nim — to już dobrze!

Jeżeli będziesz w Poznaniu, to postaraj się między innymi pójść do teatru.

Owszem, z przyjemnością godzę się na ten specjalny kącik w Twoim serduszku — myślę, że ono należy do wymienionych powyżej „setek", które nie zawodzą. Czy tak?

A teraz prostuję pomyłkę, która zaszła w Twoich komunikatach, zamieszczonych z komunikatami „Waldemiry" w nr. 19 „Moich Powieści". Zainteresowani niech znajdą pozdrowienia od Ciebie w komunikatach „Waldemiry" i vice-versa!

Posyłam Ci mocny uścisk rąk!

ZWIDY

Kiedy siedzę samotny, zasłuchany w ciszę,
zda mi się, że ty idziesz, że twe kroki słyszę.
Że widzę twoją postać bajkową i zwiewną,
twą postać eteryczną, drobną i powiewną.
Więc wpatruję się pilnie, wzrok natężam
w ciemnię,
Lecz, niestety, nie ma cię. Patrzę się daremnie.
Ale może znów przyjdą dni kochane, cudne
i otoczą nas chwile szczęśliwe i złudne,
a wtedy już cię nie dam nigdy i nikomu
i na zawsze zostaniesz w mym samotnym domu.

Adam Czekalski.

CZY ZECHCE?...

„Uszi" przedstawi Wam się sama poniżej — przyjmijcie Ją chętnie do Waszego grona i jeżeli któreś z Was czuje się na siłach, niech nawiąże z nią korespondencję w jednym z wymienionych języków.

„Od lat sympatyzuję z „Moimi Powieściami", jednak ze skruchą przyznać muszę, że bardzo niedawno zaczęłam je abonować. Podoba mi się „Kraina" i chętnie należałabym do jej „Rodzinki". Czy zechciałaby mnie ona przyjąć?

Należałoby się więc przedstawić. Otóż nazywają mnie Uszi, mieszkam na wsi, pracuję zawodowo i kocham konie, las, muzykę, taniec, wszelki sport — i humor. Ostatniego niewiele tu na wsi, trochę więc jest nudno. Może z „Krainiaków" ktoś zechciałby mi uprzyjemnić czas listem?!

Może z Grudziądza, Tczewa lub Poznania zechce ktoś do mnie napisać? Czy mogę prosić Panią o pomoc — chętnie korespondowałabym też w języku francuskim, niemieckim, względnie czeskim.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień dla Pani i „Krainiaków".

WYZNACZMY DATĘ ZJAZDU!

„Wicha" — jedna z naszych „Krainianek" proponuje, abyśmy wyznaczyli dzień zjazdu „Krainiaków" do Żnina w okresie odbywania się tu corocznych „Targów Pałuckich".

Odbywają się one zawsze przy końcu sierpnia i trwają dni 10. Co o tym myślicie, Moi Drodzy? Proszę Was abyście wypowiadali się już teraz w tempie, bo inaczej cały projekt skończy się litylko na projekcie, a nie byłoby to miłe. Mbsimy okazać energię młodości, ale konsekwencję ludzi dojrzałych wiekiem i wolą! Pamiętajcie!!

Halo! „Wicho" — mam dla Pani list. Proszę mi podać dokładniejszy adres, abym go mogła dosłać. Jasne?

Za pozdrowienia serdecznie dziękuję i przechodzę do komunikatów:

„Miłe pozdrowienia ślę „Rozśpiewanej Izabelli", „Bajce", „Zuch-dziewczynie", „Don Juanowi", „Sokołowi", „Wędrownej Chmurce", „Smutnej i brzydkiej Irce", „Sarence", „Tu-Aldekowi", i „Uranowi". Może ten ostatni napisze mi liścik — odpowiem na pewno! Całej „Krainie" serdeczności!"

DAŁAM CI INNY PSEUDONIM

„Sarenka III". Słuchaj Dziecko, przyjmuję Cię do „Krainy", ale pod pseudonimem „Niebieskie oczy", bo „Sarenek" mamy już coś dwie. Nie lubię dwóch identycznych pseudonimów, gdyż zdarzają się potem nieporozumienia.

Więc te już znajome od dziś „Niebieskie oczy" należą do młodziutkiej blondyneczki, mieszkającej w pięknej acz trochę odciętej od świata wsi. Właścicielka ich poleca się gorąco pamięci Sympatyczek i Sympatyków „Krainy" i żegna do następnego listu miłym uśmiechem!

APEL

„Ferdy". Owszem, możesz Pan pozostać tajemnicą, mnie to nie przeszkadza absolutnie, a jak nadejdzie dla Pana list, zawiadomię w „Krainie".

Z nowelek nie skorzystamy — przyczyny podałam w „Odpowiedziach redakcji". Ale proszę się tym nie zniechęcać, sądzę, że dalsze będą fortunniejsze, boć nie od razu Kraków zbudowano.

Pozdrawiam Pana miło i czekam na nowy transport skryptów!

A teraz Twój apel:

„Halo! halo! „Krainiacy"! Tu „Ferdy". Zgłaszam się do Was z prośbą o przyjęcie. Jestem jeszcze młody, ale wesoły dzieciak, o ciemno-blond włosach, wysokim czole, owalnej twarzy. Całość: wysoki, szczupły. Zawszem wesoły i zadowolony.

Może która z „Krainianek" skrobnie liścik na początek. Która lubi przygody, niechaj napisze. Odpowiedź murowana, pewna, jak w banku!

„Irko z Wągrowca". Czy Ty mnie znasz? Napisz do Ferdego, a może pod jego właściwy adres.

Wszystkich „Krainiaków", „Krainianki" pozdrawiam. Piszcie do mnie!"

NOWY CZŁONEK

„Wędrowny ptak". Pisze mi ten żołnierzyk, ukrywający się pod pseudonimem „Wędrowny ptak", że zależy mu bardzo na tym, abyśmy go przyjęli w swoje grono. A ponieważ jest dawnym entuzjastą naszej „Krainy", więc oanjesiemy się przychylnie do jego prośby i niechże od dziś będzie formalnym członkiem „Rodzinki"!

Ważne jest jeszcze to, że nowy nasz Braciszek gorąco prosi „Samotne serce" o adres. Mówi on, że w pamięci wyrobił mu się obraz wesołej, pogodnej tej blondyneczki, która jest jak rozmarzona, rozśpiewana ptaszyna, co opuściwszy dalekie kraje, przyleciała do swej umiłowanej wioski i gniazdko sobie ściele.

Myślę, że „Samotne serce" nie pominie milczeniem prośby „Wędrownego ptaka", a i reszta „Krainiaków" okaże mu swą przychylność. Pozdrawiam Cię dzielny żołnierzyku i mocno na sumienie kładę obowiązek częstej rozmowy z nami!

NADSYŁAJ WIERSZE DO TECZKI WUJKA

„Kazimierz Junoszyc". Przyjmuję Pana do „Krainy" tym chętniej, że jesteś kolegą „Krainianki" Heli J.

Wierszyki swoje możesz zawsze nadsyłać do Teczki Wujka Janusza — jeżeli będą dobre, to chętnie będziemy je drukowali, czy to w „Teczce", czy nawet w „Krainie".

Chłopiec, którego niniejszym przyjmuję do „Rodzinki" Waszej, o „Krainiacy", jest maturzystą i mieszka w Warszawie. Adres jego i nazwisko mam w książeczce ewidencyjnej „Krainy".

Które z Was zechce zawrzeć z nim kontakt korespondencyjny, niech prześle do redakcji list zaopatrzony pseudonimem „Kazimierz Junoszyc", a ja już go poślę pod właściwy adres. Dodaję, że nowemu „Braciszkowi" zależy bardzo na Waszym zainteresowaniu się jego osobą — zatem uczyńcie mu tę przyjemność, a wpierw jeszcze przyjmijcie jego bardzo serdeczne pozdrowienia.

NIE DLA MNIE...

Ach, już nie dla mnie urok wiosny,
Ni sny czarowne o miłości —
Uśmiech promienny i radosny
Dziś na mej twarzy już nie gości.

Był czas, że me niebieskie oczy
Ufnie patrzyły w przyszłość moją.
I świat był wówczas tak uroczy,
Gdy snułem słodkich marzeń roje.

Ach, te marzenia i sny cudne,
Przyszłości mej czarowne wizje,
Wszystkie one były tak złudne —
I prysły wszystkie, jak — iluzje...

Dziś w sercu moim smutek gości,
Bolesne były me przeżycia —
Dusza ma pełna jest żałości,
Ach, już nie dla mnie radość życia!...

Kazimierz Łagnowski.

ODDAJĘ PANU GŁOS

„Przybłęda Leśny". Otrzymałam niedawno alarmujący list Pana, więc wyszukałam jeszcze ten z lutego i na gwałt odpisuję. Zaznaczam jednak, że „non mea culpa est!", a tylko — jeżeli może tu być w ogóle jakaś wina — jest nią moja stara zasada kolejnego załatwiania stale napływającej korespondencji.

Czy mi Pan wierzy, mały niecierpliwy chłopcze? Tak? No, to jestem zadowolona!

A teraz oddaję Ci głos, wpierw jeszcze przyznając, że rzeczywiście świetnie się urządziłeś z tą adnotacją.

„Przede wszystkim serdecznie dziękuję za gościnne przyjęcie, jakie zgotowała mi „Krainka" z Panią na czele, przyjmując z powrotem do swego grona! Nie spodziewałem się, że w dawnej znajomej znajdę tak wielką „protektorkę", która zamiast skarcić mnie za ucieczkę — otacza szczególną „ochroną".

Kiedy już zostałem tak serdecznie przyjęty, muszę się jeszcze raz przedstawić, by „Krainka" wiedziała, co za „kogoś" dostała:

A więc zacznę od wzrostu:
(Tu brak miary poprostu!)
— Jeden „meter"? — za mało!
...Metr — pięćdziesiąt? — za mało!!
(Czy Wam miary nie stało?)
A więc dalej idziemy,
W centymetry rośniemy!
Przecież w lesie głęboko,
Trzeba wyrość wysoko!?
Wreszcie koniec jest jeden:
Metr — osiemdziesiąt — jeden!!!
Oczy? — mam ich także aż dwoje!
Są niebieskie i swoje!
Wreszcie włosy — czupryna —
Są ciemnego blondyna!
Całość... — mało ciekawa...
Ciemna oczu oprawa...
A figura...? o rety!!!
(NIE szaleją — kobiety!)

P. Klaudia M. — dziękuję za liścik!

„Leśniczanka" — znamy się! W Ustroniu bardzo pięknie; Dziękuję za miły liścik! — „Darz Bór!"

„Venus" — dziękuję za wierszyk! Czy prozą nie dało by się kilku słówek napisać? Przecież w Puszczykowie nie brak natchnienia!? Znam tamtejsze lasy, gdyż „kiedyś" tam byłem!

„Mrówka leśna" — przesyłam wyrazy sympatii i milutkie pa!

„Smutna i brzydka Irka". Nie jesteś ani brzydką ani smutną, lecz milusią i kochaną dziewczynką (jak wszystkie „leśne") jak wynika to z Twego zdjęcia w „Krainie". Czy prawda? Odezwij się!

Wszystkim „Krainiankom", które zainteresowały się mną, serdeczne pozdrowienia (dla „leśniczanek" „Darz — Bór") oraz podziękowania! A może któraś lub któryś z mych „Siostrzyczek" czy „Braci" zamieszkuje okolicę Zakopanego? Bardzo chętnie nawiązałbym z nią kontakt, gdyż spędzam tam z kolegą, swój urlop wypoczynkowy. (Od 1—28 czerwca).

A więc, kto chce poznać bliżej „Leśnych Duchów", niech się odezwie względnie może przyłączy do naszej dwójki. Czekam!

Dla całej „Krainy" leśne pozdrowienia!"

INFORMUJĘ

„Uśmiech majowy." Przyjmuję Pana do „Krainy" i informuję, że listy, kierowane dla Ciebie na poste-restante, odbierać musisz osobiście przy okienku pocztowym, wymieniając swój pseudonim. Zazwyczaj też odbierający listy musi dopłacać po 10 gr za sztukę, chyba, że wysyłający opłacił list wystarczająco, to jest 35 gr. za sztukę nieprzeciążającą wagi 20 g.

„Krainiakom" oznajmiam, że gorąco ich prosisz o nawiązanie kontaktu listownego i zasyłasz im uśmiech wiosenny.

CZEKAM!...

„Maryla" — pragnie być przyjętą do „Rodzinki" i nawiązać kontakt z jej członkami. Siostra jej także należy do „Krainy", a różnica między nimi jest ta przede wszystkim, że jedna jest blondynką, a druga brunetką. Tą ostatnią jest właśnie „Maryla".

Moc pozdrowień zasyła wszystkim i czeka na listy.

TAK BĘDZIE LEPIEJ!

„Bursztynowe Serduszko". Cieszę się, Dziewczynko Droga, że tak miło spędziłaś Święta i że dochodzisz do wniosku, iż szczęście wchodzi Ci w drobne rączki. Bo zdaje się, że tak jest. Nie rozpatruj, proszę, tego zagadnienia, które poruszyłaś w liście — po co? Bierz rzeczy nie z dawnego, a obecnego punktu widzenia i odczuwania — tak będzie lepiej.

Koleżankę Twoją przyjmę z przyjemnością do „Krainy".

Adresy podane zanotowałam sobie — w porządku!

Serdecznie dziękuję za ten barwy amarantowej kwiatek i proszę o częstsze listy.

„Halo! „Zapomniana Syleno". Napisz, co u Ciebie słychać! Dam odpowiedź na pewno. „Bajko" i „Elżuniu z Torunia" — ślę całusy! „Zbijobruk Poznański" i „Złote Słoneczko" — proszę Was również o listy. Niestety, czas nie pozwala, bym napisała pierwsza, odpowiedź jednak dam na pewno. Serdeczne uściski! „Czarnooka Wando" — serdecznie Cię pozdrawiam. Poznanie nasze się udało. „Samotna Włościanko" — zdradzam Ci, że Wandzia jest milutką dziewczynką z czarną czupryną.

Mam prośbę wielką: Która z Sympatyczek z Grudziądza napisze do mnie? Tak bardzo zależy mi na korespondencji z jakąś miłą dziewczynką z Grudziądza. Wkrótce się tam wybieram, więc poznanie osobiste byłoby możliwe. Nie odmówcie, Dziewczynki i piszcie!

„Jaś - Sokół" niech przyjmie pozdrowienia Czekam na liścik. Dla „Szydercy" moc serdeczności. Kuszą mnie fotki i Twoja służba zaszczytna — czy można poznać?

„Ludwiśko B". Pamiętam te nasze dni, spędzone razem. Czy nadal zawracają Ci głowę? Świstaj na wszystko, niech to woda zaleje. Całuję mocno. Pisz proszę na adres: Rypin, woj. pomorskie, skrzynka pocztowa nr. 62, dla Krzysi S.

ZDOBĄDŹ SZYBKO NASZĄ SYMPATIĘ!

„Ludwiśka B." Przyjmuję Cię do naszego grona i życzę, abyś szybko zyskała sobie tyle szczerej sympatii, ile jej ma Twoja przyjaciółka, żyjąca wśród nas pod pseudonimem „Bursztynowe Serduszko".

„Krainiakom" mówię o Tobie to, co mi opowiedziała właśnie ona.

Mianowicie, że jesteś blondynką, lubisz sport i jesteś bardzo wesołą. Ostatnio dużo jeździsz samochodem po Polsce i szukasz jakiejś miłej towarzyszki z Ostrowa Wlkp.

Listy prosisz kierować na adres: Ostrów Wlkp., poste - restante, dla „Ludwiśki B.".

Teczka Wujka Janusza

PO DOKŁADNYM PRZEJRZENIU...

„Henry". Do oceny otrzymałem nowelę Pana — „Historia jednej nocy" — oraz wiersze: „Żal" i „Myśli — marzenia moje". Po dokładnym przejrzeniu powyższych utworów, wybrałem do druku tylko wiersz „Żal". Przesyłam Panu dużo serdecznych pozdrowień!

ŻAL

Cichy — nieuchwytny żal...
Do duszy się wtłoczył
— Dziś nie moje już te oczy,
Co tak tęsknie patrzą w dal...
— — — — — — — —
Żal do serca zimną wpłynął strugą
I zmroził w stal — na długo, długo...

Henry Korn.

O TYM, ŻE WARTO ŻYĆ!...

„Arkadia". W odpowiedzi na liścik Pani przesyłam następujące słowa:

Żyć zawsze warto, chociaż trzeba walczyć i tylko ludzie słabi boją się życia. Żyć trzeba umieć, wbrew wszystkim smutkom i życiowym przeszkodom. Jak pięknie o tym mówi poniższy wiersz:

CONTRA SPEM

A kiedy przyjdą owe smutne dnie
posępnej słoty, bez promieni słońca —
wiedz, że dni owe muszą skończyć się,
że wreszcie blask,
przepełen łask,
rozświetli mroki od końca do końca.
A kiedy przyjdą zniechęcenia dnie,
dane ci losem wśród życia zawiei —
wierz, mając w duszy hardej moce lwie,
że minie czas,
ciężki jak głaz,
i wróci szczęście — —
wierz — przeciw nadziei! — —

Nawiązując do powyższego, usilnie pragnę, aby zawróciła Pani jak najwcześniej z drogi niezwykłego pesymizmu i miała odwagę powiedzieć sobie mocno, że żyć... warto, po stokroć warto! I to, mając siły, młodość, zdrowe ręce do pracy! Wszak prawda?!

Ucieszę się, gdy Pani znowu do mnie napisze, pomimo, że nowelka... zawiodła!

CZEKAM!

„Blanka". Bilecik wprawił mnie w radosne zdumienie — „niedługo się zobaczymy" — czy można wątpić w moje zadowolenie?... Czekam!

WIOSNA

Na wiosnę, kiedy znów cudnie zakwitną drzewa,
Chciałabym bajkę przeżyć miłosną
I razem z słowikiem szczęścia piosnkę zaśpiewać,
Kiedy znów bzy zapachną... na wiosnę.

Wiosną... może się czyjeś dla mnie serce zbudzi,
Może serdeczny ktoś dłoń mi poda,
Może ktoś szlachetny znajdzie się pośród ludzi,
Co mi otuchy do życia doda.

W przecudny, uroczy, słoneczny dzień wiosenny,
Może daleki ktoś mnie pokocha.
Uśmiecham się hen do swego szczęścia promiennie,
I snuję już marzeń nić po trochu.

Na wiosnę... może ktoś do mnie przyjdzie kochany,
Ktoś z oczami, jak ten błękit nieba,
Czekam i wierzę, że ktoś mi dzisiaj nieznany,
Przyjdzie z wiosną, bo bogów mi trzeba...

„Blanka".

WIERSZE SPOTKAŁY RÓŻNE LOSY...

„En - Ka". Wiersze Pana znalazły się w mojej „Teczce" i tutaj spotkały je różne losy. I tak: „Tęsknota" — została przeznaczona do druku, „Dumam" i „Wspomnienie" — pochłonął zawsze gościnny kosz redakcyjny, a „Na rozdrożu" — bardzo chętnie zamieszczę pod warunkiem, że poprawi Pan czwartą zwrotkę, która w stosunku do trzech pierwszych wypadła wprost fatalnie. W oczekiwaniu na „świeże owoce natchnień" przesyłam Panu mocny uścisk dłoni!

TĘSKNOTA

Z wiatrem myśli moje płyną,
hen w dalekie nieraz strony,
w locie hyżym potężnieją,
zda się rzucać będą gromy

Przeszkód żadnych nie uznają,
z niczym w drodze się nie liczą,
co w swej trasie napotkają,
siłą wprost nieludzką niszczą.

Kto im daje taką siłę
niecodzienną, a wprost straszną,
i kto każe im mil tyle
przebyć w tę noc cichą, jasną?

To tęsknota tylko może,
i swą siłę im oddaje,
sama wielka, jak przestworza,
jak ziemskiego globu kraje.

„EN - KA".

Raj kobiet



Miła bluzeczka kamizelkowa, zapinana na zamek błyskawiczny.

Sportowa bluzeczka z jedwabiu do prania, w pasy.

Skromna kamizelka bez rękawów, z białego rypsu.

Z deseniowej georgette'y uszyć można tę miłą bluzeczkę z żabotem — motylem.

Marszczenia — tak bardzo obecnie modne — można zastosować na tę bluzeczkę, przybierając ją poza tym haftem.

Spódniczka z lekkiej wełny w kolorze brązowym.

Bluzka — żakiet, uzupełniona szalikiem.

Kobiety potrafią milczeć

Były premier angielski Stanley Baldwin powiedział kiedyś: „Kobiety potrafią milczeć". Opinia angielskiego męża stanu stoi w rażącej sprzeczności z utartym powszechnie przekonaniem, że kobiecie nie wolno powiedzieć żadnego sekretu, bo wszystko wygada. — Baldwin, uzupełniając swoje stanowisko, podkreślił, że nigdy w swym życiu nie spotkał się z wypadkiem, aby kobieta była zamieszana w jakąkolwiek sprawę polityczną, wynikłą z niedyskrecji, natomiast bardzo często zdarzało się, że mężczyźni, którzy powinni byli znać wartość i konieczność zachowania tajemnicy, popełniali najbardziej rażące niedyskrecje.

Pogląd ten podkreślony został jeszcze silniej w przemówieniu jednej z przedmówczyń amerykańskiego ruchu kobiecego. Kobiety, zdaniem mówczyni, potrafią lepiej dochować tajemnicy niż mężczyźni, jakkolwiek — niekiedy pozory przemawiać mogą przeciwko temu. Pewna działaczka amerykańska, wybitnie zaangażowana w życiu politycznym swego kraju, oświadczyła, że często zdarzało się jej bywać na zebraniach, co do których przebiegu zastrzeżona była najściślejsza tajemnica. Nazajutrz wszystko było w gazetach wypisane grubymi czcionkami. O niedyskrecji ze strony kobiet, nie mogło być mowy, gdyż wspomniana działaczka była jedyną kobietą na tym zebraniu.

Milczenie kobiety, zwłaszcza, gdy w grę wchodzi jej duma, ma niekiedy skutki tragiczne. Dzieje zawiedzionej miłości zawierają niejeden przykład takiego wyniosłego milczenia. W Ameryce wyszło rozporządzenie w sprawie ograniczenia pracy kobiet. W myśl ograniczenia te kobiety, których mężowie zarabiali dostatecznie na utrzymanie, musiały opuścić zajmowane dotychczas stanowisko. Większa ilość zamężnych kobiet nie przyznała się do tego, że praca zarobkowa jest dla nich koniecznością, gdyż mąż nie zarabia dostatecznie. Wolały stracić posadę niż okazać, że mężczyzna, którego wybrały, wbrew utartej opinii — nie zarabia dostatecznie na życie i utrzymanie domu.

Nawet w sprawach teatru i filmu, gdzie kobieta ma wiele do powiedzenia, umie ona lepiej zachować milczenie od niejednego mężczyzny. Artystka, kreująca w filmie rolę królowej Wiktorii, występowała w masce tak wiernie odtwarzającej rysy królowej, że wzbudziło to powszechny podziw i naturalnie ciekawość, jak powstaje taka maska. Artystka, zapytywana nawet przez wybitne osobistości, nie zdradziła swej tajemnicy, która ujawniona została dopiero później, przez niedyskrecję, jednego z aktorów.

Kobiety pracujące w urzędach są zazwyczaj trudniej dostępne niż mężczyźni. Nie łatwo je wyciągnąć na kolacyjki, za którymi przepadają mężczyźni, a przy których ulotniła się niejedna tajemnica. Dodajemy do tego, że kobiety są mniej przekupne. Znane są wypadki, gdzie mężczyzna za kolacyjkę z szampanem nie wahał się udzielić swej protekcji notorycznym głupcom i przestępcom. Nigdy takiego wypadku nie było z kobietą. — Kobieta nie umie milczeć, — jest to uprzedzenie, mające za sobą wprawdzie długoletnią tradycję, ale nie znajdujące swego potwierdzenia w dziedzinie faktów. Kobieta dużo mówi — ale to nie znaczy, by zdradzała powierzone jej tajemnice. Uprzedzenie urobione dziesiątkami, ba, nawet setkami lat, było wygodnym upozorowaniem ograniczeń, stosowanych dawniej wobec kobiet na polu pracy zawodowej. Nie potrafi milczeć, — więc nie można jej powierzać odpowiedzialnych stanowisk, twierdzono odtąd jednak, że kobieta na równych prawach z mężczyzną wchodzi w życie zawodowe, przekonano się, że umie zachować doskonale milczenie w rzeczach wagi zasadniczej. Kobieta czyni to tylko inaczej niż mężczyzna. Tajemniczy pan dyrektor chodzi napuszony jak paw, pełen godności, a przy kolacyjce „wyrwie" się słowo jedno i drugie — i już po tajemnicy. Kobieta rozszczebiotana umie tajemnicę zasłonić powabem uśmiechu trudniejszym do przeniknięcia niż hipochondryczna najczęściej powaga pana stworzenia — mężczyzny.

Czy wiecie, że...

Medycyna usiłuje komórki rakowate wygłodzić przy pomocy fluoru, nowego pierwiastka, odnalezionego niedawno w organiźmie ludzkim. Fluor tamuje krzepnienie krwi. Badania nad możliwością zabicia komórki rakowatej postępują naprzód i kto wie, czy nareszcie nie doprowadzą do pożądanych rezultatów w walce z rakiem.

—o—

W British Muzeum znajduje się mało znany manuskrypt grecki o odsieczy wiedeńskiej. Manuskrypt ten jest pióra Jeremiasza Cascarelava. Manuskrypt ten pochodzi z 1686 r.

—o—

Na zamku Howard w Anglii rzeczoznawca szwajcarski Paul Ganzo odkrył portret króla Henryka 8-go pędzla sławnego malarza niemieckiego Holbeina. Wartość tego obrazu oceniona została na 80.000 ft. szt.

—o—

Człowiek wchłania podczas jednego wdechu pół litra powietrza (dorosła osoba oddycha 16 do 20 razy na minutę).

—o—

Każdy z nas posiada około 25 bilionów czerwonych ciałek krwi.

—o—

W niektórych fabrykach zegarków wysłuchuje się za pomocą stetoskopu „bicia serca" zegara, aby odkryć niedokładności w mechaniźmie.

—o—

Straty, które powstają w Nowym Jorku z powodu zatorów w ruchu ulicznym, obliczają na milion dolarów dziennie.

—o—

W Japonii przeciętnie codziennie mają miejsce cztery trzęsienia ziemi, - ale — tylko raz na siedem lat takie trzęsienie przyjmuje rozmiary katastrofy.

—o—

Niebieski wieloryb uważany jest za „dorosłego" dopiero wtedy, gdy osiągnie długość 20 metrów.

—o—

Zwyczaj wygalania twarzy znany był już w Egipcie starożytnym. Golili zarost kapłani, szlachta nosiła wąskie, krótkie bródki, często przyprawiane, Faraon zaś nosił dość długą brodę. Rzymianie nosili zarost do III w. przed Nar. Chrystusa. Później przyjął się powszechnie w Rzymie zwyczaj golenia zarostu wraz z osiedlaniem się w stolicy fryzjerów i golarzy, przybyłych z Sycylii.

—o—

Monokl w oku Greka lub Rzymianina był częstym zjawiskiem. Oczywiście nie był on fabrykowany ze szkła, jak dziś, a z drogich kamieni. Neron np. miał monokl ze szmaragdu.

—o—

Klakę teatralną posiadał ten sam cesarz rzymski, Neron. Przywódcy oddziałów klakierskich, otrzymywali rocznie po 40 tysięcy sestercji. Dla oklaskiwania swoich produkcyj otrzymywał Neron aż 5.000 klakierów. Zdaje się, że pod tym względem nie dorównuje mu dziś żaden teatr.

—o—

Rękawiczki były znane i używane już na 5 wieków przed Nar. Chrystusa. Wynalazek ten przejęli Rzymianie i Grecy od Persów.

—o—

Podatek spadkowy znany był również w starożytności. W państwie rzymskim wynosił on 5 proc. od spadku przewyższającego wartość dzisiejszych 25 tysięcy złotych.

—o—

Aparat lotniczy w rodzaju gołębia sfabrykował sobie Archytas z Tarentu. Jego aparat mógł po nakręceniu latać swobodnie przezz pewien czas — po czym sam opuszczał się na ziemię.

—o—

Automaty istniały przed 2.000 lat. Heron z Aleksandrii odpowiada np. o istnieniu automatu przy świątyniach. W czasie procesji mogli spragnieni pątnicy za drobną opłatą, wrzuconą do automatu, otrzymać kubek wody.

—o—

Pierwszy katalog muzealny założony został kosztem państwa rzymskiego przez uczonego historyka Pliniusza w roku 73 przed Chrystusem.

—o—

Punktualny wulkan znajduje się w republice środkowo-amerykańskiej Salvador. Położony nad brzegiem zatoki Acajutia wyrzuca z zegarkową punktualnością co 7 minut masy lawy rozżarzonej i słupy ognia. W nocy pełni wulkan rolę latarni morskiej, rzucając co 7 minut krwawe snopy światła, widziane z dużej odległości.

Savoir vivre

Jedzenie i zachowanie przy stole

Soli, pieprzu i t. p. nie bierze się własnym nożem ani łyżeczką, a tym bardziej palcami. Powinny być do tego w solniczce czy pieprzniczce specjalne łopateczki. O ile o nich za-

pomniano, to w ostateczności można wziąć soli na koniec noża, o ile nie był on w użyciu.

Nabierając z półmiska, trzeba się starać załatwić to szybko i sprawnie, nie plamiąc obrusa, nie przebierając na półmisku. Należy też pamiętać o tym, że sąsiad jest też głodny i nie nabierać zbyt wiele na swój talerz. Przy nabieraniu z półmiska należy uważać, by się nie narazić na drwiny podającej służby. Lokaj czy służąca potrafią nie pokazać po sobie, że widzą brak obycia gościa, ale zwracają uwagę na każdy szczegół, a źle wychowanych gości nie będą nigdy traktowali, jako prawdziwych państwa.

Potrawy nie zostawia się na talerzu nawet choćby nam nie smakowała, lub choćbyśmy nie mieli apetytu. Można jej wziąć niewiele, lecz zjeść należy wszystko, jeśli się nie chce sprawić przykrości gospodarstwu.

Po zjedzeniu potrawy nie odsuwa się talerza, lecz składa się na nim nóż i widelec obok siebie, w kierunku poziomym, trzonkami od prawej strony. Jest to znak dla służby, że może talerz zabrać. Nóż i widelec ułożony na krzyż, trzonkami od jedzącego oznaczają, że jedzenie nie jest jeszcze ukończone, składa się je w ten sposób wówczas na przykład, gdy się sięga po chleb lub dobiera potrawy. Widelcem czy łyżką, które były w użyciu, nie sięga się do półmiska ani salaterki, na których powinny być do tego specjalne sztućce.

Pijąc przy jedzeniu, należy przed każdym podniesieniem kieliszka czy szklanki obetrzeć usta serwetką. Czyni się to dlatego, aby na przeźroczystym szkle nie pozostało brzydkiej, tłustej obrączki po nieotartych ustach. Nie należy bynajmniej pić wszystkich trunków, jakie nam podają. Mieszanina alkoholu najłatwiej upaja, lepiej więc pić jeden, najwyżej dwa gatunki wina. Ale można również nie pić żadnego, dla przyzwoitości tylko umoczywszy usta w kieliszku.

Wkładanie palców do ust i dłubanie w zębach, niedozwolone w żadnych okolicznościach, jest tym bardziej niedopuszczalne przy stole. Człowiek potrafi wytrzymać największy ból, najcięższą operację, dlaczegoż by nie miał wytrzymać, gdy mu coś przeszkadza w zębach? Do zaradzenia sobie w tym wypadku służą wykałaczki, podawane w wielu domach, restauracjach i t. p. Aczkolwiek używanie wykałaczki nie należy do rzeczy estetycznych, jest jednak w niektórych wypadkach złem koniecznym. Używa się jej po jedzeniu, w ostateczności między potrawami, lecz nigdy nie przerywa się sobie jedzenia dla dłubania w zębach. Sama ta czynność winna być wykonana jak najdyskretniej. W tym celu zasłania się ręką dolną część twarzy i szybko usuwa z zęba to, co przeszkadza.

Pijąc herbatę, czy kawę, nie zostawia się łyżeczki w szklance, lecz kładzie się ją na spodeczku. Nie wolno też wylewać płynu na spodek i pić z niego.

W pokoju jadalnym obowiązują te same prawidła rozmowy, co w salonie. Poza tym trzeba dbać o sąsiadów, przy czym rzecz prosta, mężczyzna usługuje kobiecie. Sięgając po coś stojącego na stole, należy przeprosić sąsiada, lepiej jednak poprosić o przysunięcie, niż nachylać się i sięgać przez biesiadników.

Wzgląd na obecnych nakazuje też dostosowywać się do nich z szybkością jedzenia, dlatego ci, co zostali obsłużeni pierwsi, jedzą nieco wolniej, a ostatni pospieszniej, by wszyscy skończyli w tym samym mniej więcej czasie. Bardzo niemiła sytuacja wytwarza się, gdy wszyscy czekają na jednego, który je wolniej od nich.

Przy rozpoczynaniu potraw należy się trzymać następującego prawidła. O ile jest niewielka ilość biesiadników, wszyscy, którzy sobie nałożyli na talerz, czekają, aż pani domu rozpocznie jeść, przy kilkunastu lub kilkudziesięciu osobach rozpoczyna jeść kobieta, siedząca na honorowym miejscu. W żadnym wypadku mężczyzna nie powinien się zabierać do jedzenia przed sąsiadkami.

Kolejność podawania na większych zebraniach jest ściśle obmyślona przez panią domu i nie należy jej naruszać. Wychodzi się z założenia, że służba otrzymała wskazówki od pani domu, a zmienianie gości wytwarza chaos w podawaniu. Jedynie wówczas, gdy para biesiadników zeszła się przy wspólnym posiłku, mężczyzna może, a nawet powinien ustąpić pierwszeństwa kobiecie, lub wreszcie nałożyć jej na talerz.

Nie wstaje się od stołu, zanim gospodyni nie poda do tego hasła, powstając sama.

Wreszcie każdy powinien pamiętać o tym, że po spożyciu posiłku nie wypada natychmiast opuszczać gościnnego domu, lecz trzeba przynajmniej pół godziny spędzić na rozmowie.

MUNIA TOLINA

Powrót Janka

(Nowela)

Jan Ziegler wracał do Polski. Nie był tam od 1918 r., a miał wtedy cztery lata, więc Polski nie pamiętał. Pomimo niemieckiego nazwiska Jan jest Polakiem, nazwisko Ziegler nadał mu przybrany ojciec.

W r. 1915, kiedy Niemcy zajęli Warszawę, major Alfred von Ziegler zamieszkał u pani Alicji Nadolskiej, matki rocznego wówczas Janka i starszego o dwa lata Stasia, mąż p. Alicji walczył na froncie, jako oficer armii rosyjskiej. Pani Alicja nie chciała, mimo próśb i nalegań męża i władzy, opuścić Warszawy — „Pięknej kobiecie nic nigdy nie grozi" — mówiła z czarującym uśmiechem. Pani Nadolska była istotnie piękną kobietą — wysoka, zgrabna, o prześlicznej, delikatnej cerze blondynki, o jasnych lśniących włosach; była piękną i była zalotną, niezbyt ściśle dochowującą wierności mężowi, toteż kiedy zamieszkał u niej oficer niemiecki Alfred von Ziegler, elegancki, przystojny, o surowej, męskiej twarzy a wbrew pozorom człowiek dobry i czuły, pięknie grający na fortepianie, lubujący się w poezji, Alicja łatwo usidliła romantycznego Niemca i, w prędkim bardzo czasie, rozkochany w niej do szaleństwa, został jej kochankiem. Był nietylko, zresztą, namiętnym kochankiem, a był również bardzo uważnym i troskliwym opiekunem jej dzieci.

Taki stan rzeczy trwał do początku 1918 r. — wtedy Nadolska wyjechała odwiedzić znajomą w majątku, niedaleko Warszawy, tam lekkomyślna i płocha kobieta nawiązała romans z krewnym owej znajomej i nie chciała wracać do Warszawy, do wiernego kochanka i małych synków.

Kiedy w listopadzie Polska odzyskała niepodległość, Ziegler uzyskawszy pozwolenie władz, pojechał do tego majątku, gdzie była Nadolska, aby namówić ją do powrotu, zaproponował jej wtenczas małżeństwo, bo dowiedział się o zaginięciu Nadolskiego w Rosji, i wspólny wyjazd do Niemiec. Alicja odmówiła stanowczo, wyśmiała go, wykpiła i kazała iść precz, a kiedy przypomniał jej o dzieciach, rzekła: „Możesz je, albo zostawić na łasce losu, albo wziąć sobie, mnie są niepotrzebne."

Ziegler był oburzony i rozgoryczony do najwyższego stopnia, bo kochał w ogóle dzieci, a do dzieci Alicji był przywiązany niezmiernie — nie mógł więc pojąć jak może matka tak obojętnie porzucać dzieci, jednakże, przyzwyczajony zawsze do decyzji szybkich i stanowczych, wrócił do Warszawy, zabrał Stasia i Janka i wyjechał z nimi do Niemiec.

Był dla dzieci tak dobry, jak tylko najlepszy ojciec potrafi. Czynił długo poszukiwania za ojcem Stasia i Janka, bo chciał dzieci zaadoptować, pozwolenia matki nie potrzebował, ponieważ sama się dzieci wyrzekła, lecz nie wiedział jak się do tego odniesie Nadolski; kiedy minęło sześć lat, a o nim nie było wieści, Ziegler wreszcie zaadoptował chłopców. Staś i Janek przybrali tedy nazwisko — Ziegler.

Alfred Ziegler kształcił dzieci w szkole niemieckiej, oprócz tego wynajął im nauczyciela języka polskiego, aby nie zapomnieli ojczystej mowy — kto wie, może odnajdzie się jeszcze kiedyś wasz ojciec, może zechce żebyście przyjechali do Polski, będzie jeszcze miał żal do mnie, że zniemczyłem mu dzieci — mówił.

Staś i Janek kochali gorąco swego dobrego, przybranego ojca. Ziegler nie ożenił się, nie mógł bowiem, przeboleć zdrady Alicji, z nieufnością odnosił się do kobiet; najtkliwsze uczucia swoje oddał dzieciom przewrotnej kochanki.

Tak żyli spokojnie, aż naraz zwaliło się na nich nieszczęście — w r. 1934 Stanisław, młodzieniec wtedy 23-letni, zdolny, wielce obiecujący, o ujmującej powierzchowności, zginął w wypadku samochodowym. Śmierć jego była tragicznym ciosem dla starego Alfreda Zieglera, pozostał mu teraz tylko Janek, Jan również był bardzo przybity tragicznym końcem ukochanego brata. Stary Ziegler od czasu tego wypadku zaczął zapadać na zdrowiu, a w początku 1936 r. umarł. Przed śmiercią nakazał Jankowi powrócić do Polski, do swoich i dał mu adres matki. Tak więc, po śmierci najukochańszego opiekuna Janek wracał do Polski.

Chciał być tam jak najprędzej, rwał się tam całą duszą młodzieńczą — przybranego ojca kochał, lecz przybranej ojczyzny nie mógł ukochać, wszystko mu pozostało tam obce, obojętne, chociaż miał zaledwie cztery lata, kiedy wyjeżdżał z kraju. Zawsze marzył i śnił o tej tajemniczej i cudnej Polsce — nie raz prosił ojca, by go tam zawiózł, ale Ziegler odnajdywał zawsze jakieś wymówki, może bał się, że w Janku odezwie się polskość i może bał się go stracić; dlaczego w takim razie, uczył dzieci polskiego języka i często mówił im o Polsce? Może była to więc subtelna uczciwość, stosunek prawdy do dzieci obcego narodu, tego skądinąd prawdziwego patrioty niemieckiego?

Często też Janek myślał o swej matce, o matce, która się go wyrzekła, która porzuciła jego i brata, jak coś niepotrzebnego, to matka, to człowiek! Lecz pomimo goryczy jaką żywił do niej, marzył też często i skrycie w głębi synowskiego serca, że kiedyś ujrzy tę matkę — jakże ona się ucieszy, jak będzie ze łzami w oczach błagać go o przebaczenie, jak będzie opowiadać o bezsennych nocach, które spędziła w skrusze i żalu, myśląc o straconych dzieciach; i jak on jej wspaniałomyślnie przebaczy wszystko i obejmie czułym ramieniem, ją, Matkę, starą, steraną życiem kobietę, pokutującą za błędy młodości!

Już na granicy, kiedy Janek zobaczył, jakże poczciwe, inne, jak mu się zdawało, twarze, kiedy usłyszał polską mowę, ogarnęła go fala radosnego wzruszenia, pełen wesela i szczęścia spoglądał na wszystko, nawet smutek jaki tkwił w duszy od śmierci Zieglera, ustąpił wobec tej radości.

Prędzej, prędzej do Warszawy do matki, do ojca; nie wątpił, że mieszkają teraz razem. Kiedy Jan przyjechał do Warszawy, zatrzymał się z początku w hotelu, tam umył się, ubrał się staranniej i tak wyświeżony, wyelegantowany wybrał się do nieznanych rodziców, chciał się im przedstawić jak najlepiej.

Taksówka stanęła przed pięknym, nowoczesnym gmachem, Janek wszedł i odrazu na pierwszych drzwiach przeczytał — Alicja Mirott-Nadolska." Nie zwrócił uwagi na przydomek „Mirott", pomyślał, zresztą że to może być panieńskie nazwisko matki.

Stał przed drzwiami, drżąc z niecierpliwości, ale bał się zadzwonić odrazu, lęk go jakiś ogarnął, co go tam czeka za tymi drzwiami, jakże go spotka ta wytęskniona, ta dziwna matka? A może nie będzie mu rada? O, nie, to nie może być, może kiedyś, w młodości, postąpiła tak lekkomyślnie, lecz teraz, po latach, na pewno tego żałuje, na pewno teraz nie może sobie darować, że nie powróciła wówczas do dzieci, że oddała je Niemcowi; biedna, biedna, Janek już teraz, wprost rozczulił się nad nią!

Wreszcie zadzwonił. Otworzyła mu szykowna pokojówka.

— Czy pani w domu, czy przyjmuje?

— Tak.

— Proszę powiedzieć, że ktoś bardzo, bardzo dobrze znany i dawno, bardzo dawno niewidziany, pragnie panią zobaczyć w ważnej sprawie.

— Proszę, niech pan wejdzie.

Janek wszedł do gustownie urządzonego salonu. „Tu mieszka moja matka, moja matka" — myślał, płonął cały oczekiwaniem, serce biło mocno.

Wtem weszła kobieta młoda, śliczna, ubrana wykwintnie i modnie. Kiedy Janek podszedł do niej, w oczach jej odbiło się niezmierne zdumienie, zbladła, a potem coś, jakby zażenowanie czy strach, przemknęło po pięknej twarzy.

— Pan do mnie?

— Czy pani Alicja Nadolska?

— Tak.

(Dokończenie w nast. numerze).

uczuła, że ją ktoś chwyta za ramię, i przeraźliwy głos kobiecy zawołał:

— Na pomoc! na pomoc! Mordercy! Złodzieje! Na pomoc!

Przerażona odwróciła się pani Schnorr i zbladła jak śmierć, gdy zobaczyła znaną sobie twarz osoby, która ją w swoich kleszczach trzymała.

— Ema — jęknęła ona. — Ty tu?

— Tak jest — zawołała Ema namiętnie. — Bóg zlitował się nade mną i uwolnił mnie od zguby w rękach pani.

Schnorrowa zaczęła się gwałtownie wydzierać, lecz wtem nadbiegł mąż młodej kobiety i złapawszy ją, potrząsał silnie i krzyczał:

— Ty diable w postaci ludzkiej! Ja cię nauczę, co to znaczy unieszczęśliwiać młode i cnotliwe dziewczęta dla zysku! Poczekaj ty!

Słowa i wzrok jego tak były groźne, że stara wiedźma bojąc się o swoje życie, zaczęła głośno wołać o pomoc.

Krzyk jej zaalarmował cały dom. Goście siedzący przy kolacji, opuścili stół i wbiegli do pokoju Sylwii.

— Co tu się stało? — zapytał Waker — czy znów jaka kradzież?

— Nie ucieknie ona tak, jak ten czarny złodziej Sambo — rzekł Tulliwer z oburzeniem.

— Ja nic nie ukradłam — krzyknęła pani Schnorr — ja mam własnych kilka tysięcy przy sobie.

— A co pani w obcym pokoju szukała? spytała pani Biedermann nieufnie.

— Wlewała truciznę do karafki z wodą — krzyknęła Ema — ja przysięgnę na to!

— Kłamstwo! Podłe kłamstwo! — syknęła pani Schnorr — ja nie mam żadnej trucizny!

Ale Ema wydarła jej gwałtem flaszkę i podniosła ją w górę, tak aby ją wszyscy mogli zobaczyć.

— To nie jest trucizna, to są krople żołądkowe, których codziennie używam, wołała pani Schnorr.

— Jeżeli to krople — rzekł Tulliwer — to niech je pani tu przed nami wypije!

— Wybornie — krzyknął jeden z obecnych Anglików — jeżeli to trucizna, to niech ginie, tak jak sobie na to rzetelnie zasłużyła!

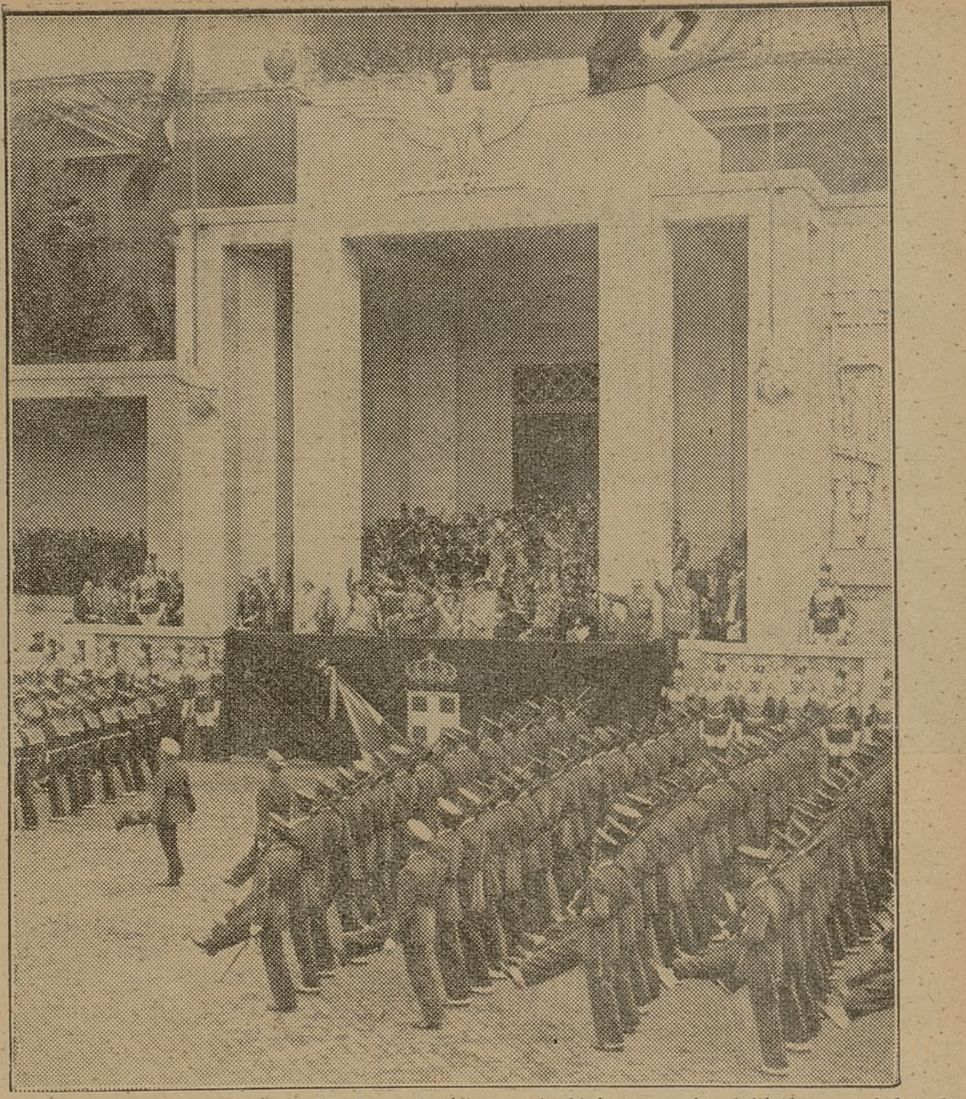
Chciano jej płyn z flaszeczki gwałtem w usta wsączyć, gdy wtem nadeszła Sylwia.

Pani Schnorr przywitała ją jak swe zbawienie.

— Bogu dzięki, że pani przychodzi — zawołała ona Sylwii na powitanie — niech pani poświadczy wszystkim obecnym, że ja jestem najlepszą przyjaciółką pani, i że nie mogłabym pani nic złego wyrządzić! Niech poświadczy, że jestem porządną, poczciwą kobietą!

— Porządną ,poczciwą kobietą! — szydziła Ema i zaczęła opowiadać swoje przejścia z panią Schnorr.

— Byłam już w kleszczach — kończyła Ema, i czekał mnie okropny los, lecz Bóg ulitował się nade mną i zesłał mi pomoc, w postaci tego dobrego człowieka, który się później ze mną ożenił. Wracamy teraz do naszej ojczyzny! Jestem przekonana, że ona i tę panienkę — tu wskazała na Sylwię — chciała w nieszczęście i zgubę wprowadzić.



Organizacje wojskowego przysposobienia młodzieży włoskiej w czasie defilady przed kancl. Hitlerem.

— Przyznaj się kobieto, coś chciała zrobić! — wrzasnął Waker. — Powiedz prawdę, albo żegnaj się ze światem!

Głos jego tak był groźny, że pani Schnorr jęknęła przerażona:

— Darujcie mi życie, a ja wam wszystko wyznam.

To rzekłszy, złożyła formalną spowiedź swego grzesznego życia. Bała się okropnie śmierci!

Usłyszawszy, w jakim była niebezpieczeństwie, złożyła Sylwia ręce i zaczęła się modlić.

— Przyznałam wam się szczerze do wszystkiego — rzekła pani Schnorr — dotrzymajcie więc swojej obietnicy i puśćcie mnie na wolność!

— Nie tak prędko, kobieto! — szydził Tulliwer. Zawołamy teraz policjanta i oddamy cię sprawiedliwości. Posiedzisz sobie tu kilka lat na koszt rządu. Ameryka jest gościnnym krajem!

— Chcecie mnie wsadzić do więzienia? — krzyknęła Schnorrowa w rozpaczy. — Puszczajcie mnie! Wy nie macie prawa trzymać mnie tu gwałtem.

— Pewnie, że mamy! — odparł Waker poważnie — jest to powinnością każdego uczciwego człowieka, uchronić ludzkość od tak niebezpiecznej osoby.

— To jest przeciwne umowie — wrzasnęła stara i chciała uciekać, ale silne ręce złapały ją i ze wszech stron zaczęto ją okładać kijami tak, że padła krzycząc i jęcząc na ziemię.

Tymczasem oddalił się jeden z obecnych i wrócił po chwili z policjantem, którego poinformowano dokładnie o tym, co się stało.

Policjant wziął od Emy flaszeczkę z atropiną, wlał wodę z karafki do flaszki od wina i schował je obie do kieszeni, skuł panią Schnorr łańcuchem i zawiózł ją dorożką do więzienia śledczego.

Ema z mężem odłożyli swój odjazd, aby móc przeciwko Schnorrowej świadczyć.

Sędzia okazał się bardzo nieludzkim i skazał Schnorrową na długoletnie więzienie.

Czy zobaczy ona jeszcze kiedy swoją ojczyznę, to bardzo wątpliwe! Powietrze więzienne nie służy jej bowiem. Zapada na zdrowiu i może umrze, nim odzyska wolność.

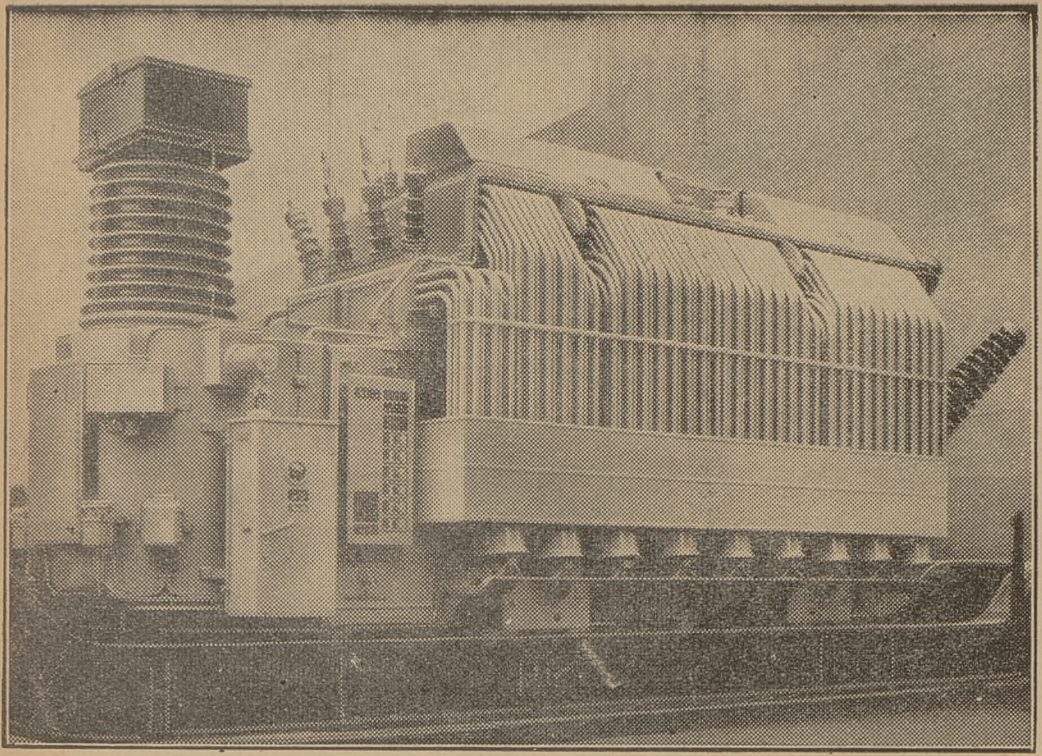
Sylwia musiała również pobyt swój w New-Yorku przedłużyć, aby przeciwko oskarżonej móc świadczyć.

W czasie swojego pobytu zapoznała się bliżej z panią Biedermann i opowiedziała jej, że jedzie do fermy ,,Szczęście i błogosławieństwo Boże".

Pani Biederman była w gruncie rzeczy niezłą kobietą i polubiła Sylwię tak, że się obawiała puścić ją samą w tak długą podróż.

Toteż zwróciwszy się do Wakera, rzekła:

— Ja na pana miejscu, panie Waker, odprowadziłabym tak piękną pannę! O koszty podróży panu przecież nie chodzi! Pan taki bogaty!



Olbrzymi transformator, zbudowany w Niemczech na 105,000/10,000 wolt.

Wiedziała ona dobrze, że Mayerów już tam nie ma, ale nie wolno jej się było z tym zdradzać.

Z drugiej zaś strony, żal jej było Sylwii i bała się, aby jej się coś złego tam nie stało.

— Słowo daję, że pani ma słuszność! — krzyknął Waker. — Pojadę rzeczywiście.

Tulliwer, który od pierwszego wejrzenia w Sylwii się zakochał, postanowił także pojechać.

— Dajmy sobie rękę na to — rzekł Tulliwer do Wakera — że ochronimy tego anioła od wszelkich niebezpieczeństw!

Waker podał przyjacielowi rękę, ale nie bardzo szczerze przytem wyglądał.

ROZDZIAŁ CCCXII.

Uratowana na ciele i na duchu

Gdy Francis tak nagle wyszła z pokoju swoich przyjaciół, ocknął się pierwszy Leon.

— Co jej się stało i co ona zamierza? — spytał on Billa zdziwiony.

Ale Bill nie odpowiadał. Rzucił się na kanapę i płakał jak małe dziecko.

Leon pochylił się nad nim ze współczuciem.

— Biedny chłopcze — rzekł on miękko — wiem, że to musiała być dla ciebie ciężka chwila. Jak ty tę dziewczynę kochałeś i jak ona ciebie rozczarowała!

— Jak ja ją kochałem! — szlochał Bill. — Była ona moim bóstwem, moją rozkoszą, moim jedynym szczęściem! Własną ręką zdarła mi zasłonę z oczu!

— Ty to przebolejesz — pocieszał go Leon — czas jest najlepszym lekarzem na takie rany. Poznasz jeszcze inne i inną pokochasz!

— Nie — odparł Bill smutno — serce me na zawsze do niej należy! Ale gdzie ona poszła! Mój Boże, trzeba pójść za nią, aby sobie dziewczyna coś złego nie zrobiła!

Wybiegł jak szalony z pokoju bez czapki i zobaczywszy portiera w korytarzu, zapytał:

— Gdzie jest ta młoda dama, którą tu ze sobą przyprowadziłem?

— Ta panna wyszła przed 10-ciu minutami z hotelu — odparł zapytany — wyglądała ona bardzo zirytowana.

— W którym kierunku odeszła? — wypytywał go Bill.

— Skręciła na prawo — była odpowiedź.

Bill popędził za nią w wymienionym kierunku, potrącając przechodniów. Nie myślał o niczym, tylko o odnalezieniu dziewczyny. Wszystko inne było mu obojętne.

Wreszcie zobaczył przed sobą w pewnym oddaleniu postać podobną do Francis, w szarym kostiumie i bez kapelusza. Tak, to była Francis.

Bill prędzej jeszcze pogalopował za nią, a ona również przyspieszyła kroku.

Wreszcie przystanęła na moście i spojrzała zamyślona w ciemne fale. W następnej chwili już pochyliła się, aby skoczyć w wodę, lecz wstrzymało ją od tego silne ramię Billa, który w tej sekundzie właśnie do niej się zbliżył.

Nie mówił ani słowa do niej, tylko popatrzył na nią z wyrzutem.

Spojrzała zmieszana wokoło siebie, a potem wybuchnęła płaczem.

— Dlaczego mi nie pozwoliłeś umrzeć? — zawołała z rozpaczą. — Nawet śmierci mi nie życzysz!

On objął ją uspokajająco i pociągnął za sobą. Szła za nim bez oporu i w milczeniu, płacząc tylko po cichu. Bill wzdychał od czasu do czasu, nie zwracając uwagi na to, że się im ludzie przyglądają.

Gdy stanęli przed hotelem, wzdrygnęła się Francis.

— Nie chcesz pewnie widzieć Jima — rzekł Bill łagodnie — wezmę dla ciebie drugi pokój.

Skinął na kelnera i kazał sobie dać drugi pokój, do którego wprowadził płaczącą dziewczynę. Patrzył na nią z współczuciem, a i w jego oczach zakręciły się łzy, a usta drgały nerwowo.

Nie przemówił do niej ani jednym słowem, tylko głaskał ją po głowie, tak jak troskliwa matka, która uspokaja i pociesza swe dziecko.

— Billu, Billu, jak ty mną musisz pogardzać — szlochała dziewczyna — dlaczego mi nie pozwalasz umrzeć?

— Francis — odparł on spokojnie — posłuchaj, co ci powiem. Uratowałem cię nie dla ciebie, lecz dla siebie, bo dla mnie życie i świat bez ciebie nie mają najmniejszej wartości.

— Więc ty mną nie pogardzasz, Billu? Czy to możliwe, że ty mną nie pogardzasz? — zawołała dziewczyna zdziwiona.

— Chyba nie wiesz, co to prawdziwa miłość! — odparł Bill smutnie — bo inaczejbyś tak nie mówiła. Kocham cię, mimo wszystko, co przez ciebie wycierpiałem, więcej, niżbym ci mógł powiedzieć!

Obrzucił ją przytem tak miłosnym spojrzeniem, że ona porwana tym, padła w jego ramiona. Bill przycisnął ją do piersi i złożył gorący pocałunek na różowych świeżych jej ustach.

— Kochana, jedyna moja — szeptał namiętnie — więc mi się przecież udało zdobyć cię wreszcie. Będę cię na rękach nosił! Będziesz moim bóstwem! Jeżeli mnie naprawdę kochać nie możesz, to znoś mnie przynajmniej u swego boku.

— Billu — zawołała Francis i spojrzała na niego promieniejąco — świadczę się Bogiem, że noc ta, w której dwa razy byłam w niebezpieczeństwie życia, wyrwała z mego serca na zawsze ową grzeszną miłość. Ty uratowałeś mnie podwójnie: me ciało i mą duszę! Do ciebie pociąga mnie teraz wszystko, co we mnie dobre i czyste! Do ciebie jedynie odtąd serce me należy! Weź mnie, jeśli mnie rzeczywiście jeszcze pragniesz.

Z okrzykiem radości i szczęścia, przycisnął Bill dziewczynę raz jeszcze do swego serca.

Przytuliła się czule do niego, a w sercu jej zapanował spokój, którego dawno już nie doznawała. Wszystkie burze w niej umilkły, wszystka nienawiść i mściwość znikła na zawsze. Czuła teraz tylko bezgraniczną miłość i uwielbienie dla tego szlachetnego człowieka i jego wielkiego serca. Powzięła jak najpiękniejsze zamiary, co do przyszłego ich pożycia i prosiła Boga, aby jej dał sił do ich wykonywania.

Bill przeczuwał ,co się w sercu Francis działo, i zapomniawszy zupełnie o przeszłości, upajał się szczęściem obecnej chwili. Czuł on się w raju!

— Mój dobry Billu! — rzekła miękko — czuję się tak szczęśliwa po swoich cierpieniach i grzechach! Dałby Bóg, abym się stała godną ciebie i zasłużyła na swoje szczęście!

Bill przyciągnął je znów do siebie i zamknął jej usta pocałunkami.

ROZDZIAŁ CCCXIII.

Po burzy następuje pogoda

Hrabia Eryk znajdował się w gorączkowym niepokoju.

Był od trzech dni już w New-Yorku i mieszkał w tym samym hotelu co Barenowie, a mimo to nie miał sposobności widzenia się Dorą.

Nie schodziła ona do sali jadalnej w hotelu, nie wychodziła na spacery ani do teatrów, jednym słowem była niewidzialną!

Rauch dopytywał się u pani konsulowej o pannę Hiller, ale odpowiedź nie była dla niego uspokajająca.

— Panna Dora twierdzi, że jest chorą — rzekła pani Baren — pewno nowy jakiś kaprys, bo takie one są wszystkie! Miejmy nadzieję, że to i u niej przejdzie!

Eryk zagryzł usta ze złości, że się ktoś tak lekceważąco o jego ukochanej mógł wyrażać, ale opanował się i zapytał tylko, czy panna Hiller radziła się lekarza.

— Nie, nie chce lekarza — odparła pani Baren z brzydkim uśmiechem — najlepszy dowód, że to tylko kaprys. O, te guwernantki umieją nam biednym matkom zatruwać życie.

Nie mogąc dalej słuchać tych wywodów, pożegnał się Eryk pod pozorem, że ma coś bardzo ważnego do załatwienia i odszedł oburzony na panią konsulową, że mogła tak mówić o Dorze.

Wyszedłszy na ulicę, szedł prosto przed siebie bez celu, myśląc ciągle o swej ukochanej.

Czy ona rzeczywiście jest chorą, czy go tylko unika? On jej tak otwarcie przekazywał swoją miłość, że się co do tego nie mogła mylić i jeżeli się ociągała, to chyba tylko dlatego, że nie chciała słyszeć oświadczenia, na które by musiała zimnym „nie" odpowiedzieć.

Możliwe jednak, że rzeczywiście była chorą i że z tęsknotą oczekiwała zbliżenia się jego! Może się tak rozwiązać z tej zagadki, ale powziął niezłomne postanowienie nie rezygnować ze swoich zamiarów nim z własnych ust jej nie usłyszy, że ona go nie chce!

Kupiwszy po drodze dużą bombonierkę i trochę biżuterii dla Elly i Emmy, wrócił do hotelu i udał się wprost do salonu państwa Baren.

Zastał tam tylko obie dziewczątka wystrojone i znudzone.

— Dobrze, że was tu zastaję, moje panienki! — rzekł Eryk uprzejmie — bo przyniosłem wam tu małe pamiąteczki, które wam się pewnie będą podobały!

To rzekłszy, rozłożył swoje skarby na stole, a obie panienki wydały głośne okrzyki radości i włożyły zaraz bransolety na ręce. Potem skosztowały cukierków, które im bardzo smakowały i zaczęły hrabiemu serdecznie dziękować.

Gdy się trochę uspokoiły, zapytał hrabia:

— Gdzie są rodzice?

— Papa wyszedł, a mama ubiera się do teatru, — odparła Elly — czy pan pójdzie z nami?

— Nie wiem jeszcze — rzekł hrabia — a gdzie panna Hiller?

— Dora pomaga mamie przy ubieraniu się, odpowiedziała Emmy.

— Czy panna Hillern już zdrowa i czy idzie z wami do teatru? — badał Eryk.

— Nie, nie chce iść — zawołały obie równocześnie — mama mówi, że to tylko upór z jej strony.

Było to dla hrabiego wystarczające. Pożegnał się z dziećmi i wrócił do swego pokoju, aby się znów zagłębić nad zagadką, której nie mógł rozwiązać.

W tym samym czasie pomagała Dora pani Baren przy toalecie. Była blada, gdyż wiele w ostatnich dniach przecierpiała, a wszystko z powodu niego. Wierzyła ona bowiem w niecne oszczerstwa pani Baren i brała zbliżenie się Eryka, którego miała za



W 526 rocznicę urodzin Joanny d'Arc odbyły się w miejscu jej urodzenia Domrémy (Francja) wielkie uroczystości.

żonatego człowieka, jako lekceważenie dla siebie, a to ją okropnie bolało. Daremnie starała się zgłuszyć w swym sercu miłość dla niego; zakorzeniła się ona tam zbyt mocno. Trzeba to więc było zostawić czasowi, a na razie unikać jego obecności.

Pani konsulowa nie bardzo pięknie odwdzięczała się Dorze za jej uprzejmość. Nie można jej dziś było dogodzić, była w złym humorze i cokolwiek Dora robiła, pani Baren ganiła.

Powodem tego złego humoru próżnej kobiety było to, że popatrzywszy raz do lustra w czasie kiedy jej Dora wsadzała brylantową szpilkę do głowy, zaczęła mimo woli porównywać i musiała przyznać, że obok młodej i świeżej twarzy swej guwernantki wyglądała już staro.

Nie mogła tego Dorze wybaczyć i dokuczała biednej dziewczynie tego wieczoru, jak tylko mogła.

Gdy wreszcie toaleta była skończona, wyszła pani Baren z sypialni, nie podziękowawszy Dorze ani słowem za jej uprzejmą i dobrowolną pomoc.

Dora odetchnęła lżej i wróciła do swego pokoiku. Tam padła zmęczona na krzesło i zakrywszy twarz rękoma, wybuchnęła rzewnym płaczem. Czuła się tak samotną i opuszczoną, jak jeszcze nigdy w życiu! Nie miała nikogo na świecie, któremu by się mogła zwierzyć i poskarżyć.

Wtem weszła służąca i podała jej kartkę, którą Dora przeczytała ze zdziwieniem i z niechęcią. Była to bowiem wizytówka hrabiego Eryka Raucha, na której były słowa:

— Zaklinam panią, przyjmij mnie pani choćby na chwilę. Muszę się z panią koniecznie w bardzo ważnej dla mnie sprawie rozmówić.

Brzmiało to tak poważnie, że niechęć Dory znikła ustępując miejsca miłości i obawie o ukochanego człowieka. Postanowiła więc wysłuchać Eryka, ale mieć się przytem na baczności, pamiętając o przestrodze pani Baren.

— Proszę pana hrabiego zaprowadzić do salonu — rzekła Dora — ja zaraz tam przyjdę!

Gdy służąca wyszła, przystąpiła Dora do lustra, aby zetrzeć ślady łez z twarzy. Nie udało jej się to zupełnie i ku swemu niezadowoleniu zobaczyła ona dopiero jak blado i nędznie wygląda.

Nie potrzebuje przecież wiedzieć dlaczego — pocieszała się ona — może myśleć, że to naprawdę ze słabości.

Nim jednak weszła do salonu, stanęła jeszcze przed drzwiami i przycisnęła rękę do serca, które biło jak młotem. Wreszcie opanowała się i otworzywszy drzwi weszła i zobaczyła Eryka, również bladego i wzruszonego.

— Chciał pan ze mną mówić, panie hrabio — rzekła Dora drżącym głosem, nie śmiejąc na niego spojrzeć.

— Tak, odparł hrabia zdławionym głosem — muszę z panią pomówić w sprawie, od której mój los i pani zależy!

Stali oboje obok siebie, gdyż Dora nie prosiła go nawet, aby usiadł; chciała prędko położyć koniec jego wizycie.

Milczała też dalej, patrząc w ziemi i zaciskając ręce z irytacji.

— Dziwi się pani pewnie — ciągnął Eryk dalej — że ja próbuję jeszcze szczęścia po tylu dowodach nieprzychylności ze strony pani. Doro, czy pani przeczuwa, jak ja panią szalenie kocham? Czy nic w świecie nie zdołałoby panią nakłonić, aby zostać moją żoną?

Patrzył na nią błagalnie, ale nie śmiał zbliżyć się do niej, ani ująć jej rękę.

Twarz Dory oblała się purpurą. Nie wiedziała, co o tym wszystkim ma myśleć. Wreszcie rzekła, jąkając się:

— Myślałam... myślałam... mówiono mi, że pan jest żonaty.

— Ja, żonaty? — oburzył się hrabia. Kto mnie przed panią tak oczernił? Teraz dopiero pojmuję, dlaczego się pani tak ociągała, panno Doro! Za jakiego nędznika mnie pani musiała uważać! Nie, ukochana moja! Ja jestem wolny i przykuty do ciebie tylko twoim czarem! O, bądź moją żoną!

Pociągnął ją ku sobie, a ona się nie broniła i odwzajemniała jego pieszczoty.

Tak upłynął im czas na pierwszych zwierzeniach szczęśliwie i szybko.



W Anglii kończą budowę największego statku świata „Queen Elizabeth.“

Po kilku godzinach wróciła pani Baren w bardzo złym humorze z teatru. Była zniudzona i zmartwiona, gdyż w loży obok niej siedziała dama, która miała dużo kosztowniejszą od niej biżuterię.

Gdy weszła z mężem i dziećmi do salonu, czekała ją jeszcze przykrzejsza niespodzianka, gdyż Dora wyszła naprzeciw niej ramię w ramię z Erykiem i hrabia doniósł wszystkim o zaręczynach swych z panną Dorą Hiller.

Konsul pogratulował im zaraz, szczerze ucieszony, ale pani Baren zbladła jak ściana. Wreszcie opanowała się o tyle, aby zapytać:

— Kochany panie hrabio, wybacz pan niedyskretne pytanie, co do żony pańskiej, z domu baronowej Grönlingen. Czy ona umarła?

— Pani dobrodziejka zamieniła mnie z mym bratem — odparł hrabia chłodno — jestem dotychczas nieżonaty, ale spodziewam się, że wkrótce nim będę! — dodał on patrząc czule na Dorę.

Wobec tego musiała pani Baren przyznać swą omyłkę i pogratulować młodej parze. Brzmiało to jednak bardzo chłodno, a oczy jej zdradzały nieżyczliwość.

Kochająca para nie zdawała się nawet zwracać na to uwagi, co pani Baren bardziej jeszcze gniewało.

Emmy i Elli, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia i rozczarowania, skakały teraz wesoło wokoło narzeczonych i zażądały, aby ich zaproszono na wesele.

Tego samego wieczora jeszcze zatelegrafował Eryk do swego ojca, prosząc go o pozwolenie.

Hrabia Rauch senior, który znał rodziców Dory, odpowiedział niezwłocznie, błogosławiąc młodej parze.

Jedynym życzeniem Eryka, po wszystkich jego przygodach, było wrócić do swej ojczyzny i żyć tam spokojnie u boku ukochanej żony. Na jego życzenie odbył się ślub jeszcze w New Jorku, a Elli i Emmy figurowały na nim jako drużki.

Natychmiast po ślubie wyjechała młoda para do Europy, gdzie ich rodzina hrabiego, nadzwyczaj serdecznie przyjęła.

Eryk i Dora żyli szczęśliwie ze sobą, gdyż związek ich ugruntowany był na prawdziwej miłości i wzajemnym uwielbieniu.

Wkrótce po wyjeździe hrabiostwa Rauchów, wrócili i Barenowie do Rio.

Elli i Emmy dostały teraz rudą Angielkę, jako guwernantkę, która je ciągle ganiła, i za każde uchybienie karała. Myślały one w swym utrapieniu często o łagodnej Dorze i jej pobłażliwości.

Pani Baren nazywa hrabinę Rauch wprawdzie swoją najlepszą przyjaciółką, ale w głębi duszy, nienawidziła ją, i zazdrościła jej szczęścia.

Dorze tym nie zaszkodziła, ale sobie zatruła życie.

Tak to się dzieje wszystkim zazdrosnym i złym ludziom.

ROZDZIAŁ CCCXIV.

Odpuść nam nasze winy

Waker nie bardzo był z tego zadowolony, że i Tulliwer Sylwię odprowadzał, ale nie zdradzał się z tym i w dzień oznaczony opuścili we troje New-York.

Biedna dziewczyna martwiła się bardzo prawie całotygodniową zwłoką, która ciężko zaważyć mogła w losach jej ojca i narzeczonego.

Napisała obszerny list do swej matki, nie wspominając jednak ani słowem o niebezpieczeństwie, które jej groziło.

Siedziała w kabinie przygnębiona, a myśli jej pobiegły za Ocean, do kochanych jej osób.

— Jedziemy prędko, nieprawdaż — odezwał się nareszcie Waker do pięknej swej sąsiadki, która nie miała pojęcia, że on tylko dla niej w podróż się wybrał.

— Dla mnie, jeszcze za wolno — odparła Sylwia z melancholijnym uśmiechem.

Obaj przyjaciele starali się Sylwię rozweselić, ale zabiegi ich były daremne.

Gdy Tulliwer wspomniał, że jedzie ze swoim przyjacielem w okolicę Missisippi, aby tam nabyć posiadłości, Sylwia nie robiła wrażenia, że ją ta wiadomość cieszyła.

W ciągu podróży była dla nich bardzo uprzejma, lecz mało mówiła.

Waker zauważył jej zdenerwowanie, które się zwiększało w miarę zbliżania się do celu.

Gdy się wreszcie parowiec zatrzymał przy fermie „Szczęście i błogosławieństwo“, drżała Sylwia tak, że się kolana pod nią ugięły i chętnie przyjęła ramię Wakera, aby móc wyjść na ląd.

Wyniesiono prędko ich pakunki. Tulliwer pospieszył za Wakerem i Sylwią, a parowiec popłynął dalej.

Jeszcze na okręcie dowiadywała się Sylwia o Józefa Mayera, lecz tak kapitan, jak i załoga nic o nim nie wiedzieli.

Wylądowawszy, zaczęła się ostrożnie oglądać za ścieżką prowadzącą do fermy, ale się nigdzie jej dopatrzyć nie mogła. Ani śladu żywego człowieka, ani zwierzęcia.

Wreszcie lekki obłoczek dymu wskazał im drogę do fermy.

U drzwi wchodowych zobaczyła wyryte w drzewie nazwisko Mayera i twarz jej rozpromieniła się na ten widok.

— U celu! Chwała Bogu! — szepnęła ona uszczęśliwiona, lecz gdy weszła do wnętrza usłyszała głośne chrapanie, dochodzące ją z kąta, w którym leżał cały stos kukurydzy.

Waker przystąpił bliżej i spojrzawszy na śpiącego, krzyknął zdziwiony:

— To przecież ten jednooki Murzyn, ten łotr, co nas u Biedermanna chciał okraść.

Tymczasem oglądnęła się Sylwia po izbie, w której dzięki lenistwu Samba, panował okropny nieporządek i okropna trwoga opanowała ją na myśl, że Meyerowie mogli mieszkać w tym zaniedbanym domostwie.

Może padli ofiarą tej okropnej febry, która w okolicach tych panuje? — pomyślała ze zgrozą.

Śmierć Mayera byłaby bowiem zgubą dla jej ojca i narzeczonego.

Sambo upił się był rumem i zasnął tak mocno, że go wejście obcych nie zbudziło.

Dopiero, gdy Tulliwer zaczął nim potrząsać, zerwał się na równe nogi i powiódłszy jednym okiem po przybyszach, struchlał z przerażenia.

— Czego wy od Samba chcecie? — zapytał dzwoniąc zębami. Sambo jest wierny, uczciwy i pracowity.

— Gdzie jest Józef Mayer? — spytała Sylwia Murzyna.

Sambo popatrzył na nią jadowitym wzrokiem i nie odpowiadał.

Panna Herbert zwróciła się rozpaczliwie do Wakera i prosiła:

— Zlituj się pan nade mną, panie Waker i skłoń pan tego Murzyna do tego, aby mi dał informacje co do Józefa Mayera, bo szczęście mego życia od tego zależy. Obiecaj mu pan za to tyle złota, ile sam zechce!

Słowo „złoto“ zelektryzowało Murzyna i oko jego zabłysło chciwością.

Gdyby Sylwia była sama, nie byłby z nią robił dużo ceregieli; byłby ją zamordował i okradł, a ciało wrzucił do Missisippi.

Niestety! Była w towarzystwie dwóch panów, a z tym się trzeba było liczyć!

— Gdzie jest Józef Mayer? — wrzasnął Waker. — Mów natychmiast, czarny diable, albo ci tę nędzną duszę z ciała wypędzę.

— Chcę pierwej widzieć złoto — jęczał Murzyn — niech pani pokaże złoto, to Sambo pani powie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

MARIA REUTT

6)

Anna

— Co za miły gość — wołał z daleka — a tak dawno niewidziany. Co pan porabiał przez ten czas? Ujął go poufale za ramię i prowadził ku domowi.

Leon zatrzymał go. — Zostańmy tu — prosił rozglądając się z zachwytem po szpalerach jesiennych róż, dalii i astrów.

Usiedli na ławeczce wciśniętej w krzaki róż.

— Jak tam Wanda? — zagadnął ksiądz.

W rysach Leona drgnęła niechęć.

— Panna Znamierowska nie spowiada mi się ze swoich nastrojów — odpowiedział krótko.

Zauważył to ksiądz.

— Tak, jest zbyt skryta i zamknięta w sobie. Znam ją od dziecka, miała trzy lata, gdy tu przybyłem. Takie z niej dobre i subtelne stworzenie.

— Możliwie... — odparł — zbyt mało znam panią Wandę, bym mógł sformułować sobie konkretny sąd o niej.

Ksiądz popatrzył na niego z ukosa. — Tędy cię wiedli — pomyślał dobrodusznie. Głośno zapytał:

— Czy zaszło pomiędzy wami jakie nieporozumienie?

Leon poczerwieniał i chrząknął z zażenowania. Odpowiedział z przymusem.

— Nie może być nieporozumienia między panią chlebodawczynią, a podwładnym. — A widząc zakłopotanie na twarzy poczciwego proboszcza dodał wyjaśniająco: — Nie lubię chłodnych, wyniosłych kobiet. Moja matka była dobrą, uprzejmą, wnikliwą i pełną odczucia, wrażliwą na cudzą nietylko niedolę, ale i przykrość, a przytem tak bardzo kobiecą. Nie jestem przyzwyczajony do typu panny Znamierowskiej. Działa mi nieprzyjemnie na nerwy.

— Ona również była bardzo kobieca, wesoła, pełna werwy i radości życia przed swoim tragicznym zerwaniem z narzeczonym. Świadomość, że ten ukochany przez nią nade wszystko mężczyzna jest zwykłym łowcą posagowym bez poczucia honoru i etyki, zabiła w niej kobiecość.

Leon wzruszył ramionami.

— Ale z jakiej racji ja mam znosić niełaskę, którą obdarza wszystkich mężczyzn. Z mej strony nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Nie jestem i nie będę pretendentem do jej ręki, więc nie rozumiem dlaczego daje mi to stale do zrozumienia, jakby się bała, żebym nie zapomniał o tym...

Proboszcz obserwował bacznie spod oka twarz mówiącego i myślał z pobłażliwością: — Paniczyka boli, że znalazła się panna, która z miejsca nie zakochała się w nim. Dobrze ci to zrobi, hrabiczu. Na pewno psuły cię kobiety, kochasiu. A swoją drogą nic by się nie stało, żeby ci młodzi poczuli wolę Bożą w sobie, jeden ku drugiemu. Poklepał go po ramieniu.

— Zmienisz pan o niej zdanie z czasem.

Leon uśmiechnął się niedowierzająco.

Gdy wyszedł od księdza słońce jeszcze świeciło wysoko na niebie. Nie chciał wracać do domu, do swoich myśli i do samotności. Zapragnął towarzystwa. Przypomniał sobie o zaproszeniu do starostów i tam skierował swe kroki.



Pewien pomysłowy hodowca kur w Angli wystawił przy ruchliwej szosie automat wydający świeże jajka.

Służąca objaśniła go, że państwo są w domu. Jednocześnie z salonu wyjrzała ciemna, starannie zaondulowana główka pani domu.

W salonie oczy jego napotkały wśród licznie zebranych gości sylwetkę Anny i wyróżniły ją od razu. Przywitała go z wylaniem i zaanektowała z miejsca. Usiadł obok niej i objął ją spojrzeniem. Strojna w jedwabną niebieską sukienkę, obuta w kosztowne zamszowe pantofelki, ładna, pachnąca, zalotna i bezczelna jak dawniej, w swej udanej skromności. Podchwyciła jego wzrok.

— Zdziwiłeś się, widząc mnie mężatką?

— Owszem — potwierdził, nie nawiązując dalszego wątku rozmowy.

— Skąd się tu wziąłeś i co porabiasz?

— Jestem administratorem majątków panny Znamierowskiej.

Zniżyła głos do szeptu.

— Dlaczego opuściłeś posadę w Ministerstwie?

Odpowiedział patrząc jej prosto w oczy:

— Musiałem... wiesz o tym...

Poczerwieniała i zmieniła temat rozmowy.

— Więc znalazłeś się w moich stronach...

Położyła mu rękę na przegubie dłoni.

— Leonie, błagam cię na wszystko nie opowiadaj nikomu mej historii... Skończyłam tym razem na dobre ze swoją przeszłością. Mąż mój ubóstwia mnie... O niego mi chodzi... nie przeżyłby takiego ciosu... Nie wydaj mnie...

Pocałował ją w rękę, na której połyskiwał szmaragd z kolekcji klejnotów hrabiów Bielińskich.

— Nie mam najmniejszego zamiaru burzenia czyjegoś szczęścia.

Uścisnęła go znów za rękę.

— Dziękuję...

Podeszła do nich pani Halina.

— Niegrzeczna pani Anna zawsze stara się gromadzić koło swej osoby wszystkich młodych ludzi — zażartowała. — Wszyscy powinni wykorzystywać tylko dla siebie wszystkie nadarzające się okazje przyjemnego spędzenia czasu lub zrobienia dobrego dla siebie interesu — odpowiedziała wstając.

Szli we trójkę w stronę stołu, koło którego zgromadziła się reszta towarzystwa.

— Pani to umie — zaśmiał się starosta.

Nie obraziła się. Temu, że nigdy nie obrażała się, nie upatrywała w niczym chęci ubliżenia sobie, a każdą złośliwość obracała w żart, zawdzięczała przyjaźń ludzką i powodzenie w życiu.

I teraz, gdy wiotka, zręczna, zgrabna, uśmiechnięta podeszła do stołu, spotkała się z życzliwymi spojrzeniami zebranych. Skwapliwie zrobiono jej miejsce, ktoś podsunął jej ciastka, inny podał filiżankę herbaty.

— Hrabia Bieliński to mój znajomy z lat dziecinnych — objaśniła zebranych jakby się usprawiedliwiała za tę rozmowę na osobności.

Pani Halina tymczasem wciągnęła Leona do ogólnej rozmowy. Ucieszyła się, że gra w bridża i zapraszała bardzo serdecznie, by odwiedzał ich jak najczęściej.

W tej atmosferze beztroski, wesołości, swobody i serdeczności, pozbawionej jakiejkolwiek poufałości, poczuł się dobrze. Jego nerwy naciągnięte zachowaniem się Wandy odprężyły się i uspokoiły.

Podziękował z wylaniem za zaproszenie.

— Jestem pani bardzo wdzięczny i skwapliwie będę korzystał z jej uprzejmości. Czuję się tak samotny i odczuwam szalenie nieraz brak towarzystwa.

— Będziemy panu bardzo radzi — zapraszała.

Ani pani Halina, ani starosta nie chcieli o tym słyszeć, by odszedł przed kolacją. Starosta zorganizował na poczekaniu partię bridża i grali prawie do północy.

— — — — — — — —

Leon nie rozmawiał już więcej tego wieczoru z Anną i na pozór nie interesował się nią, ale spotkanie to wzruszyło go, odnowiło niezagojoną ranę.

Mąż jej przyszedł po nią. Szczupły, blady mężczyzna o jasnych oczach i blond włosach, przeciętny typ uczciwego, pracowitego urzędnika.

Zaprosił Leona, by ich odwiedził.

Gdy się żegnał z Anną, przytrzymała jego rękę w swej dłoni dłużej niż wypadało.

— Przyjdziesz... prawda?

Popatrzył w jej oczy.

— Mam wrażenie, że lepiej będzie dla mnie spotykać się z tobą, moja pani, jak najrzadziej — powiedział żartobliwie.

— Czy to wyzwanie? — zaśmiała się.

— Nie tylko samoobrona... odrzucił.

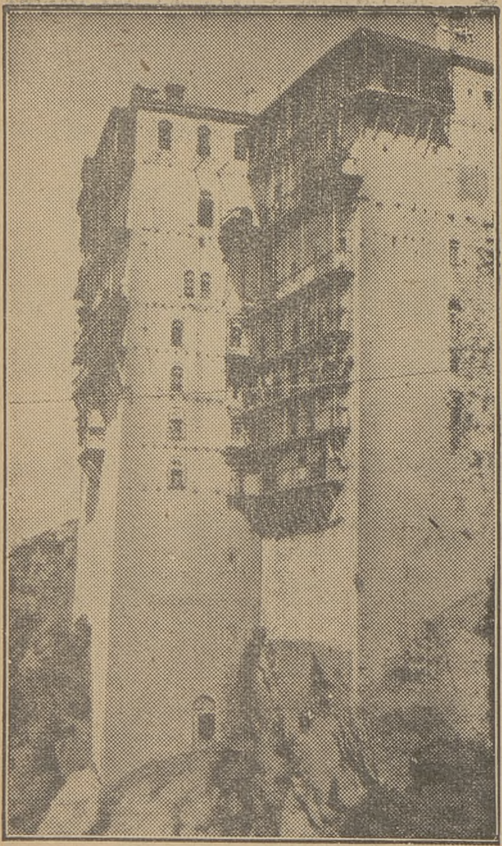
— Ach tak!... Jednakże mimo to mam nadzieję, że odwiedzisz nas wkrótce.

Na tym rozstali się.

* *
*

Leon wychodząc od proboszcza spytał go się, czy mógłby przyjść na plebanię, by pograć na pianinie od czasu do czasu.

— Tak mi brak muzyki... Muzyka uspokaja mi nerwy. Widzi ksiądz i ja przeszedłem „małą tragedię“ i często nerwy odmawiają mi posłuszeństwa.



Najbardziej oryginalnym klasztorem, bo jakby przylepionym do skał, jest klasztor na półwyspie Athos w Grecji, zamieszkały przez 4 000 mnichów.

— Przychodź pan choćby codziennie — zapraszał go proboszcz.

— — — — — — — —

Przychodził więc wieczorami i grał sobie tylko dla siebie. Gdy nie zastawał księdza, gospodyni zapraszała go gościnnie i zapalała mu świece.

Ale zdarzały się tygodnie, że nie mógł wyrwać się na plebanię, a tęsknota za muzyką niczem za narkotykiem, dokuczała mu.

Postanowił kupić sobie skrzypce.

Długo szukał, wreszcie sprowadził je z Warszawy.

Pocieszony usiadł wieczorem na oknie i wpatrzony w zieleń parku, grał. Dojmujące, rzewne tony skrzypiec rozchodziły się w ciszy wieczoru, przenikały do najzaciśniejszego kąta parku, odbijały się echem na łące, dochodząc aż do lasu.

Wanda leżała już w łóżku, gdy pierwsze tony niby miłosny zew wpłynęły przez otwarte okno do jej pokoju.

Wstała i nie zapalając lampy usiadła przy oknie osłonięta firanką. Dawno już umilkły dźwięki skrzypiec a ona siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach i poprzez palce jej sączyły się łzy.

. . . .

Przy obiedzie następnego dnia Wanda zwróciła się do Leona:

— Gdy pan gra wieczorami, to prosiłabym o zamykanie okna. Skrzypce pana wczoraj przeszkadzały mi spać.

Nie drgnął, nie zmarszczył brwi, tylko pobladła twarz, zaciśnięte usta i napięte muskuły twarzy, mówiły same za siebie. Od tego dnia nie słyszała Wanda ani razu tonów skrzypiec, chociaż wiele nocy spędziła przy otwartym oknie ogarnięta szalonym pragnieniem usłyszenia jego gry.

Od tego czasu stosunki między Leonem a Wandą stały się jeszcze bardziej chłodniejsze. Leon unikał spotykania się z nią poza koniecznością.

Starał się jak najkrócej i najrzadziej przebywać wieczorami w jej towarzystwie ku zmartwieniu pana Załawskiego, który polubił szczerze Leona i w skrytości serca marzył, by tych dwoje pobrało się. Bolał nad oschłością i nieprzyjaznym odnoszeniem się Wandy do Leona i żałował straconych partii szachów, gdyż Leon grał z nim tylko wtedy, gdy Wandy nie było w domu. Przynosił wówczas nawet skrzypce i grał staruszkowi ulubione jego utwory.

Ale zdarzało się to bardzo rzadko, bo Wanda nie lubiła wizyt i oddalała się na długo z domu. Wolne wieczory spędzał Leon u starostów lub u Anny. Wyglądało to, jakby znów był pod jej urokiem, jakby przeszłość przestała istnieć dla niego...

Wracał późno, robił jakieś notatki i chodził nieraz do rana tu i napowrót po pokoju zamyślony, skupiony.

* * *

Dnie szły jedne za drugimi, jak perły nizane na sznurek podobne do siebie, jednostajne. Przybył do Bereznej w marcu, a oto kwiecień i nic się nie zdarzyło, nic nie zaszło ciekawego w jego życiu.

Wstawał codziennie o godzinie 4-ej, pracował do zachodu słońca ,wieczory spędzał poza domem i życie uchodziło w niebyt, a on szedł w niepowrotną drogę z pustymi rękami i z pustką w duszy — myślał nieraz z goryczą ubierając się pospiesznie lub leżąc w łóżku podczas bezsennych nocy. Niczego nie dokazał, do niczego nie doszedł. Jedynym dziełem w jego istnieniu było zabicie najukochańszej, najlepszej z matek.

* * *

Szedł do kancelarii po wykaz robotników. By skrócić drogę skierował się w poprzek trawnika koło altany. Poprzez bluszcz oplatający drewnianą kratę ujrzał Wandę siedzącą na leżaku trzcinowym. Obok niej w fotelach wyplatanych siedziały bliźniaczki Grażyna i Bożena, sąsiadki Wandy, córki bogatego obywatela, którego majątek graniczył z Bereznią. Obydwie panienki, podlotki niezupełnie jeszcze dorosłe, mówiły o czymś z ożywieniem. W miarę jak zbliżał się do altany, szybkie, nierówne zdania dochodziły wyraźnie do jego uszu.

— ...Twój administrator jest szalenie przystojnym chłopcem. Pozwolisz nam zaprosić go na nasze urodziny.

— Tak... Chcemy go zaprosić — potwierdziła Grażyna, jasnowłose, niebieskie, drobne, ale rezolutne stworzonko.

— Nigdy dotąd nie spotkałam tak przystojnego mężczyzny jak hrabia Leon. Boję się, że się w nim zakochałam.

— Jest kawalerem, więc nic nie stoi na przeszkodzie, byś wyszła za niego za mąż — rzuciła ironicznie Wanda.

— O, tatuś jest również nim zachwycony. Mówił któregoś dnia, że z chęcią zaakceptowałby go jako zięcia — powiedziała otwarcie i szczerze.

Wanda wzruszyła ramionami.

— Co do mnie, to możesz go sobie zdobyć jeżeli tylko ci się uda, w co nie wątpię. Jesteś młoda i ładna no i bogata ,a on leci na pieniądze.

— Nie podoba ci się, naprawdę? — zdziwiły się obydwie panienki.

Wstrzymał oddech z wrażenia w oczekiwaniu jej odpowiedzi. Usłyszał ją, wypowiedzianą dobitnie, lekceważąco:

— Nie lubię tego typu mężczyzn.

Cofnął się cicho i okrążył altanę, uśmiechając się do siebie z goryczą. Wrzał oburzeniem.

— Wstrętna, zarozumiała dziewczyna! — „Co do mnie"... Uważa go widocznie za swoją własność, za rzecz, którą można odrzucić lub odstąpić komuś innemu. On jej pokaże, że i on również nie dba o nią!

Mijając, zatrzymał się i podszedł do dziewcząt. Znał je obydwie. Spotykał je u staruszków i u księdza i poflirtował z nimi, ujęty ich otwartą admiracją jego osoby. Przywitał się z nimi wesoło, nie zwracając uwagi na Wandę.

— Jak się pani miewa, panno Bożeno?... Wygląda pani przemiło w tej liliowej sukience.

— A z pani, panno Grazejno, istny pączek róży. Zawsze od dziecka miałem słabość do ciemnych oczu i włosów.

— Moje oczy są ciemne — upominała się Bożena zazdrosna o komplementy, które prawił jej siostrze.

— Wiem o tym — powiedział z naciskiem — i o odcieniu, którym zachwycam się najwięcej.

Obydwom dziewczynkom oczy świeciły się z radosnego zachwytu.

— Prosimy pana do nas na nasze urodziny. Spodziewamy się dużego zjazdu, będzie bardzo wesoło — wołały jedna przez drugą. Niech pan pamięta... w przyszłą sobotę.

— Z przyjemnością, o ile moja chlebodawczyni — tu skłonił się z przesadną uniżonością w stronę Wandy, która siedziała sztywna, chmurna, wpatrzona w przestrzeń — nie będzie miała nic przeciwko temu.

Bożena okoliła pieszczotliwie ramieniem szyję Wandy.

— Nie masz nic przeciwko temu... prawda? — przymilała się.

— Hrabia Leon nie jest moim niewolnikiem — odpowiedziała trochę szorstko Wanda — zawsze rozporządza czasem poza godzinami pracy.

Panienka wycałowała ją mocno i głośno. — Kochanie! Zwróciła się do Leona i chwyciwszy go za rękę potrząsnęła nią kilka razy.

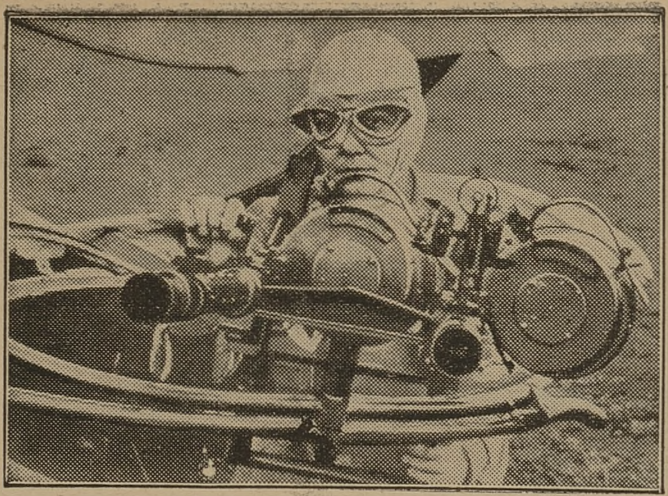
— Więc niech pan pamięta — sobota, ósma wieczór.

— Lepiej dziewiąta dla pewności — zadecydował.

— Może być i dziewiąta, tylko proszę nam nie zrobić zawodu.

— Cała przyjemność i zaszczyt po mojej stronie — odpowiedział. Ukłonił się. — Żałuję... lecz muszę już iść — i z uwodzicielskim uśmiechem pożegnał je.

— Jak jesteśmy ucieszone, że on przyjedzie — wołały dziewczęta klaszcząc w dłonie. — Papa również będzie rad...



Sab ha Gökcen, adoptowana córka tureckiego prezydenta Atatürka została mianowana porucznikiem wojsk lotniczych. Na zdjęciu Sabiha Gökcen przy karabinie maszynowym na samolocie.

— Jestem pewna... — pomyślała Wanda z goryczą — wszyscy jesteście radzi, tylko nie ja.

* * *

Od maja na wschodniej granicy pojawiły się uzbrojone bandy bolszewickie niepokojące ludność okoliczną. Napadali na dwory paląc i rabując, nie oszczędzali i zamożniejszych gospodarzy, zabierając im bydło i konie, siejąc popłoch wśród włościan.

Robione to było celowo, by sprowokować Polskę do wojny, by zastraszyć ludność, a w oczach Europy zdyskredytować Polskę jako kraj wiecznych niepokojów i zaburzeń.

Majątek Berezna, leżący w pasie granicznym, narażony był również na tego rodzaju wypady. Chociaż na razie bandy dywersyjne omijały tę miejscowość, Leon przedsięwziął wszelkie środki zabezpieczające i mogące dać skuteczną obronę w razie napadu.

Jednocześnie z ukazaniem się band, powódź ulotek propagandowych bolszewickich zalała miasteczka i wsie okoliczne, nawołujące do zbrojenia powstania przeciw pańskim rządom i apoteozujących ustrój bolszewicki.

Przychodziły one tajemniczą drogą, tajemniczymi ścieżkami, dochodziły do chat i domów robotniczych.

— Patrz pan... czytaj — wołał ksiądz do Leona, gdy ten przyszedł go odwiedzić, wtykając mu w ręce, podsuwając pod oczy broszurki, odezwy, ulotki...

— Nie ma dnia, żeby jeden z takich kwiatków nie zjawił się w chacie chłopskiej lub domu robotniczym, mieszczańskim. Na razie parafianie moi nie reagują na te kłamstwa, ale woda, gdy kapie stale, potrafi w kamieniu wyżłobić wgłębienie — gorączkował się ksiądz. — Co robi policja, dlaczego rząd czegoś nie przedsięweźmie?

— Niech mi ksiądz wierzy, że policja jest na tropie tych złoczyńców. Ukróciła już bandy, da wkrótce radę i prowokatorom — uspokajał go Leon.

— Dałby Bóg, by słowa twoje były prorocze — pocieszał się naprawdę szczerze zaniepokojony i podniecony proboszcz. — Zobaczy ksiądz i to w krótce.

* * *

Leon był w mieście. Musiał zobaczyć się z adwokatem w sprawie zatargu z chłopami o pastwisko w lesie i dobrać śruby do lokomobili.

Nie chciał mówić o konie. Wolał przejść te 5 klm. piechotą. Dzień był pogodny, ciepły, i spacer przez łąki, las i kasztanową aleję sprawiał mu przyjemność.

Załatwił kupno śrub, rozmówił się z adwokatem i wracał wprost do domu.

Bywają dnie, gdy człowiek wstaje z łóżka z uczuciem przygnębienia, które trapi go potem cały dzień. Otóż Leon znajdował się w takim nastroju i dlatego nie chciał się widzieć z nikim ze znajomych.

Był już na końcu miasta, gdy dostrzegł Annę wychodzącą z jednego z małych podmiejskich domków, zamieszkałych przez ludność robotniczą i kolejarzy. Nie widział jej od tygodnia, nie zachodził do niej, bo i po co? Zerwanych strun nie zwiąże już, gdyż zawsze dźwięczyć będą fałszywie.

W jasnej sukni wyglądała świeżo i powabnie.

— Leon, co za miłe spotkanie — ucieszyła się. — Tak dawno cię nie widziałam.

— I ja się cieszę — odpowiedział, całując ją w rękę.

— Nie blaguj, bo nie cieszysz się z tego — zaśmiała się. — Mimo to musisz mi dotrzymać towarzystwa. Byłam tu w poszukiwaniu praczki. Niestety wyprowadziła się.

— Jestem do twoich usług. Gdzie idziesz?

— Do pani Haliny, by ją zaprosić do siebie na herbatę na niedzielę. Przyjdziesz?

— Owszem, postaram się...

— Zrobisz mi wielką przyjemność. Mam nadzieję, że nie zapomnisz o obietnicy.

Przechodząc koło cukierni, Anna zatrzymała się.

— Muszę kupić parę ciastek, bo spodziewam się na dziś kilku pań z Koła Polek.

Wychodząc ze sklepu, natknęli się na Wandę, idącą w towarzystwie żony dyrektora banku.

Zamienili ukłon powitalny, mijając się. Anna zachichotała:

— Wyobrażam sobie, co pani Wanda pomyśli o nas...

— Nic mnie to nie obchodzi — sarknął — może sobie myśleć i mówić co chce, jeżeli tobie to nie zaszkodzi.

— Och nie, — zaprzeczyła — w takiej nudnej małej mieścinie plotki stanowią swoistą atrakcję, a obmowa podnosi cię w oczach znajomych i robi interesującą dla mężczyzn.

— Masz rację. Mężczyźni nie lubią nudnych, nieeleganckich kobiet, którymi nikt się nie interesuje i ja również — żartował.

— Z ciebie numer! — zaśmiała się. — Pod tym względem nie zmieniłeś się wcale. Zawsze uganiałeś się za eleganckimi, za kobietami, o które ubiegano się, pozostawiając na uboczu inne.

— Nie wypieram się tego, że wolę towarzystwo kobiet pięknych, dowcipnych, obytych, od panieneczek „dobrze ułożonych", które odpowiadają monosylabami, lub wygłaszają tyrady na tematy polityczne i socjalne.

— Nie lubisz politycznych dyskusyj? — spytała jakby trochę drwiąco.

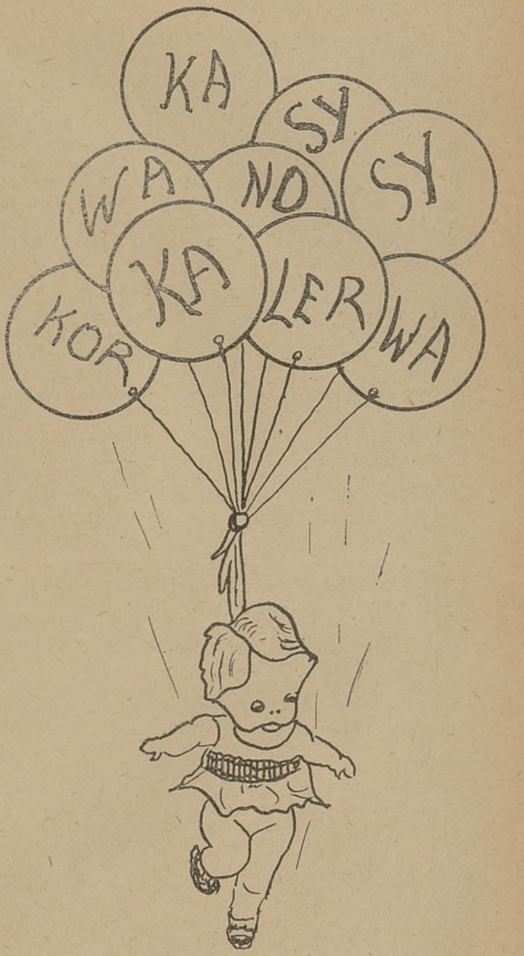
— Nie lubię dysput w salonie, wolę flirt z ładną kobietką.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

ŁAMIGŁÓWKA

uł. F. Gałecki



Sylaby rozrzucone ułożyć w ten sposób, aby wyrazy powstałe z sylab utworzyły kwadrat magiczny.

DOPEŁNIANKA

uł. M. Gal.

„Cz..y ..y.ł. n.l..y .g.r..ać ro...em, . .i. .b.e... ..ł..ą i o.e..a. w..ł.g c..i.o..ch n..t.o..w".

Joubert.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 21 maja br.

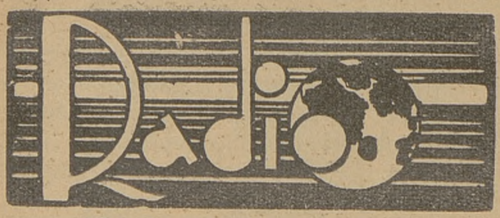
Rozwiązanie zadań z nr. 19 „Moich Powieści" 1) Łamigłówka: Choć by Twa dusza była spragniona i głodna, żadnej czary rozkoszy nie wychylaj do dna.

Treść rebusu: Kraszewski (autor złotej myśli)

Bilety wizytowe: 1) Kanarek 2) Szczygieł 3) Dromader.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Bereźnicka — Otłoczyn, Zieliński Jan — Krotoszyn, Chełminiakówna Joanna — Bydgoszcz, Majewska Lucyna — Bydgoszcz, Kobusówna Bożena — Strzelno, Mentoflowa — Główno k. Łowicza, Olejniczakówna Teresa — Rosnówko, Samulski Władysław — Nowawieś Wielka, Cerkaska — Mogilno.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Majewskiej z Bydgoszczy i Zielińskiemu z Krotoszyna.



Niedziela, dnia 22 maja 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Leszna, reportaż i nabożeństwo 10.30 Muzyka z płyt 11.00 Zespół Salonowy Rozgłośni Poznańskiej. 11.30 Odwiedziny w Liceum Pedagog. w Lesznie 12.03 Poranek symofniczny z sali Teatru Wielkiego we Lwowie 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.05 Koncert solistów z Torunia 16.45 „O ochronie budownictwa ludowego" — odczyt 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 18.54 „Powrót Odysseusza" — Teatr Wyobraźni — słuchowisko 19.35 „Słynni wirtuozi" — 22-ga audycja 20.15 Transmisja fragmentów I międzypaństwowego meczu piłk. Polska — Irlandia. 21.15 Obrazoburcy — „Kukułka Wileńska" 22.00 „Opowieść o Wagnerze" — ostatnia audycja.

Poniedziałek, dnia 23 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Od warsztatu do warsztatu: Spółdzielczość w rzemiośle 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Koncert w wykonaniu Rozgłośni Wileńskiej 17.00 „Film przyrodniczy" — odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Eug. Umińskiej 18.10 Utwory solowe na instrumenty dęte 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 „Dyskutujmy": „Koleżeństwo młodych" — dialog 20.00 Rewia melodii operetkowych 22.00 Koncert Orkiestry P. R.

Wtorek, dnia 24 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Edward Grieg: Koncert fortepianowy a-moll op. 16 12.03 Audycja południowa 15.45 „Zagadka historyczna" — audycja dla dzieci 16.15 Koncert kameralny z Łodzi 17.00 „Śląsk nieznany turystom" — odczyt 17.15 Poutpourri w wykonaniu zespołu salonowego Rozgł. Pozn. 17.50 „Była sobie ważka" — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki" — „Komedia ludzka" Balzaka w opracowaniu Tadeusza Żeleńskiego — Boya 19.30 Recital śpiewaczy Izjö Ikonen 20.00 „Na Ludwinowie muzyczka gra..." — wesoły montaż majówkowy 21.00 Koncert symfoniczny.

Środa, dnia 25 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra Edward Comette — organy 12.03 Audycja południowa 15.45 „Roald Amundsen" — pogad. dla dzieci 16.15 Pieśni w wykonaniu Wandy Roessler-Stokowskiej 16.40 Dlaczego i jak wojsko studiuje historię — odczyt 17.00 Transmisja z uroczystego otwarcia Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego na Placu Bohaterów w Budapeszcie 17.40 Gra Orkiestra Rozgłośni Lwowskiej 18.20 Życie młodzieży w obozie — pogadanka 18.30 Audycja dla wsi 19.20 Recital skrzypcowy Józefa Salacza 20.00 Muzyka taneczna 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Zbigniewa Drzewieckiego 21.45 „Urok wsi w poezji staropolskiej" — Kwadrans poetycki 22.00 Melodie operetkowe w wyk. Orkiestry Adama Hermana.

Czwartek, dnia 26 maja 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa — po nabożeństwie muzyka 12.03 Poranek symfoniczny 13.20 Muzyka obiadowa 14.45 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 16.25 Dzieci dzieciom — pieśni i piosenki 17.00 Koncert muzyki operowej 17.55 Robert Volkmann: Trio b-moll op. 5. 18.30 Transmisja z Londynu: Koncert rozrywkowy 19.00 Teatr Wyobraźni: „Burza" Szekspira. 20.00 Transmisja z uroczystości Międzynarod. Kongr. Eucharyst. w Budapeszcie — Wielka procesja na Dunaju 21.25 „W maju" — koncert rozrywkowy.

Piątek, dnia 27 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Pieśni Mozarta i Beethovena 12.03 Audycja południowa 15.45 „Moja wiewiórka" — pogadanka dla dzieci 16.15 Koncert rozrywkowy 17.00 „Dziecko wśród dorosłych" — pogadanka 17.15 Muzyka dwufortepianowa 18.10 Zespół revellersów „The marry makers" 19.00 Sensacja amerykańska — wesoła aud. 19.42 Pieśni i tańce Mazowsza 20.12 Koncert symfoniczny z udziałem J. Ochlewskiej-Wysockiej 22.06 muzyka taneczna.

Sobota, dnia 28 maja 1928 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Georg Friedrich Haendel 12.03 Audycja południowa 15.45 „Franek urządza transmisję" — audycja dla dzieci 16.15 „Od Aten do Bayreut" 17.00 Nabożeństwo majowe z Ostrej Bramy w Wilnie 18.15 Piosenki w wykonaniu Erny Sack 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 „Raz za mało" — wspomnienia muzyczne z maja 21.45 Święto wychow. Fiz. i Przysp. Wojsk. transmisja 22.00 Koncert Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.



WYTRZYMAŁOŚĆ KOBIET

— Kobiety znoszą o wiele łatwiej ból od mężczyzn.

— Kto ci to powiedział?

— Szewc!

POBOŻNE ŻYCZENIE

Do kierownika biura zgłasza się urzędnik z prośbą, o zwolnienie na parę godzin:

— Panie dyrektorze, chciałbym pójść na pogrzeb teściowej...

— A któż nie chciałby pójść na taki pogrzeb?...

W SKLEPIKU

Do sklepiku przychodzi dziecko, stawia dwie butelki na ladzie i prosi:

— Proszę o pół litra mleka...

— A co do drugiej butelki?

— A, to mamusia prosiła, żeby pan miał wodę osobno, a nie razem z mlekiem.

SZCZEŚCIE

— Pan ciągle mi opowiada, że ma szalone szczęście w miłości. Dlaczego więc się pan nie ożenił?

— Na tym właśnie polega moje szczęście!

MAŁO WYPADNIE

Lekarz do pacjenta: — Nie powinien pan pić! Pan ma dzieci, a czy pan wie, że alkoholizm jest dziedziczny?

— Wiem, panie doktorze, ale ja mam dwanaścioro dzieci, to na każde tak mało wypadnie.

URYWKI Z POWIEŚCI

„Ręka jej była zimna, jak ręka węża"...

* * *

„Mary chciała coś powiedzieć, ale drzwi się nagle otworzyły, zamykając jej usta."

POCAŁUNEK

— Mam wielką ochotę pocałować panią, panno Ziuto! — mówi pan Henryk.

— Niech pan tego nie robi, bo będę krzyczała.

Pan Henryk odsuwa się.

...Ale zupełnie cicho! — dodaje panna Ziuta.

DZIWNIE SIĘ SKŁADA

— Jesteś pierwszym mężczyzną, którego kocham!

— Wiem o tym.

— I wyobraź sobie, jak to się dziwnie składa: jesteś też pierwszym, który w to wierzy.

U LEKARZA

— Tak, łaskawa pani, aby dokładnie określić jej chorobę, trzeba będzie zrobić zdjęcie roentgenowskie.

— Z całą przyjemnością, panie doktorze, ale prosiłabym o fotografię profilu, bo tak najładniej wyglądam.

W ZWIERZYŃCU

Ona: — Podobają ci się te małpy?
On: — Ogromnie!
Ona :— A ja ci się podobam?
On: — Jeszcze więcej.

MIŁOŚNIK ZWIERZĄT

— A więc pan tak bardzo lubi zwierzęta! A czy dzikie również?

— Oczywiście, nie ma nic lepszego ponad pieczeń z sarniny.

WESOŁA GROMADA

Znany pianista i kompozytor niemiecki, Eugeniusz d'Albert, był siedem razy żonaty. Miał dużo dzieci. Często więc dochodziło między dziatwą do awanturek. Zirytowany d'Albert podczas jednej z takich awantur rzekł do żony, która miała aż dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa:

— Ależ to można oszaleć! Patrz, teraz moje i twoje dzieci biją nasze dzieci!

SKARB...

— Mężusiu, czy nie jestem dla ciebie skarbem?

— Niestety nie, skarby są najczęściej zakopane.

ZNISZCZYŁ SZCZĘŚCIE MAŁŻEŃSKIE

— Widzisz, ten człowiek zniszczył kompletnie moje małżeńskie szczęście! — rzecze pan Bzdurek do swego przyjaciela, pokazując mu jakiegoś jegomościa.

— Ach, łajdak! — zgrzyta zębami przyjaciel — ale powiedz mi, jak to się stało?

— Ożenił się z naszą kucharką i teraz żona sama gotuje!

GOLENIE

Pan Z. zajechał do swoich krewnych na wieś.

Po kilku dniach chciał się ogolić, a że sam się nie umiał, przeto za poradą ekonoma zawezwał do siebie parobka Maćka, który nauczył się golić w wojsku.

Maciek przyszedł, rozłożył swoje utensylia i zaczął rozrabiać mydliny w miseczce, do której kilka razy napluł. Pan Z. zdziwinoy tym, pyta:

— Czemu plujesz do miseczki?

— Ja pana bardzo szanuję, to pluję do miseczki, ale jak golę chłopów, to im pluję na gębę.

GŁUPI MA SZCZĘŚCIE!...

On: — Byłem chyba bardzo głupi, gdym się z tobą ożenił!

Ona: — Ja myślę! Ale głupi ma zawsze szczęście!

POWÓD

— Czemu się pan tak nagle ożenił?

— Koniecznie musiałem wziąć urlop, a w inny sposób nie mogłem dostać.

NASZE DZIECI

— Czemu Julek stoi przed lustrem z zamkniętymi oczyma?

— Chcę zobaczyć, jak wyglądam we śnie.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.